KSIĘGOZBIÓR
Polska Ludowa Szkolna
w Pabjanicach

WYBÓR PISM
JANA LAMA.

WYBÓR PISM
JANA LAMA.

WIELKI SWIAT CAPOWIC.

Część 2.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej"
Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Января 1898 года.

narrator jawny

ROZDZIAŁ VIII,

nader nauczający dla młodych prawników i dla innej młodzieży płci obojga, a oraz zawierający początek końca tej powieści.

Popełniliśmy wielką niedyskrecyę, kochany czytelniku, w poprzednim rozdziale. Słuchaliśmy [obaj pod drzwiami, i to o tak późnej porze! Dowiedzieliśmy się tajemnicy, o której nie wiedziała nawet pani asystentowa; tajemnicy, głęboko ukrytej w sercu panieńskiem. Bo juści, jeśli córka żąda od matki potwierdzenia, że ten lub ów mężczyzna jest „wcale do rzeczy", a to bezpośrednio po rozmowie o kandydaturze jakiego Sarafanowycza do jej ręki, to nawet

rodzona matka musi powziąć to podejrzenie, które my powzięliśmy przy tej sposobności.

Tak się też stało.

Nazajutrz pani Precliczkowa poczęła wybadywać Milcię co do pochlebnego na każdy sposób zdania, jakie objawiła o panu Schreyerze.

Nie mogę tu podać protokułu z tego pierwszego przesłuchania, albowiem zeznania, poczynione przez naszą bohaterkę, były dosyć ogólnikowe i małoznaczące—więcej już poszlak prawnych mogły stanowić zakłopotane spojrzenia i rumieńce, których jednak niepodobna było skonstatować protokularnie, ponieważ przesłuchanie odbywa się bez asesorów i świadków.

Nie chcę ja przez to powiedzieć, by Milcia miała zamiar zataić cokolwiek przed matką — nie było lepszej córki na świecie, jak ona, i nawzajem dobra córka nie mogła mieć lepszej i bardziej wylanej matki nad panią Precliczkową.

Ale jest pewne stadyum sercowych naszych okoliczności, w którem sami sobie nie umiemy zdać sprawy z naszych uczuć i wrażeń. Jest to pewnik, podany już w kilku tysiącach różnych romansów i powieści, ale nie zaszkodzi powtórzyć go w tem miejscu,

bo ze względu już na prostą przyzwoitość nie mogę przecież przedstawić bohaterki mojej zakochanej odrazu po same uszy w młodzieńcu, którego szersza publiczność zna zaledwie z nazwiska. I to z jakiego nazwiska! Schreyer, *Qu'est-ce que c'est* Schreyer?

Pan Schreyer, c. k. aktuaryusz przy sądzie powiatowym w Capowicach, zawdzięczał to sakramentowi chrztu świętego, że przynajmniej imię jego nie brzmiało tak nieeufonicznie, jak nazwisko. Nie nazywał się ani Symfroniusz, ani Pankracy, ani Bonawentura, ale Karol. Szanownym czytelnikom miło będzie przytem dowiedzieć się, że był to dosyć przystojny i dobrze „ułożony“ mężczyzna, mający około 30 lat wieku, i powierzchowność, którąby się mogła była przydać porucznikowi lub rotmistrzowi lekkiej albo ciężkiej kawaleryi, i którąby aktorowi, grywającemu role kochanków i bohaterów, przysporzyła była znaczne podwyższenie miesięcznej gaży. Ponieważ jednak pan minister sprawiedliwości nie kieruje się niestety względami, które mogą wpłynąć na dyrektora teatru w takich razach, więc pan Karol Schreyer pobierał tylko około 40 złr. miesięcznie — za sprawowanie sądownictwa w powiecie capowickim, pod kierownictwem pana Precliczka. Nie posiadał przytem tego ta-

lentu, zapomocą którego pan Johann von Sarafanowycz oszczędzał rocznie 1,500 złr. z ośmiuset. Budżet jego okazywał przeciwnie co roku niedobór, wynoszący prawie piątą część pensyi. Zdaniem pana Precliczka, był to jedyny dowód, że pan Schreyer jest c. k. urzędnikiem—zresztą, nie miał on ani jednej zalety którąby zasługiwała na podniesienie w owych *Konduite-Listen*, prowadzonych przez szefa urzędu, z których apelacya i namiestnictwo czerpią wiarygodne informacye co do zdolności i zasług podrzędnych organów władzy. Był wprawdzie pilnym i znał służbę swoją tak dobrze, że pan Precliczek nie wahał się często zasięgnąć jego rady, ale gorliwość jego pod pewnym względem zostawiała wiele do życzenia, i rubryką *Anmerkung* w listach jego konduity zawierała zawsze uwagę: *nicht verlässlich*, albo *bedenklich*. Przez sześcioletni przeciąg służby, pan Schreyer nie odkrył ani jednego spisku, nie doniósł ani o jednym fakcie, któryby mógł posłużyć do wykrycia podziemnych nurtowań *der polnischen Umsturzpartei*, tak rozgałęzionej np. w powiecie capowickim.

Stary pan Papinkowski mógłby był stać w bezpośrednim związku z Garibaldim, pan Kuderkiewicz mógłby był organizować całe pułki powstańców w Głę-

boczyskach, a pan Schreyer — zdaniem pana forsztehera Precliczka—byłby się tego wcale nie domyślił. Wprawdzie pan Papinkowski, oprócz przenocowania kilku zaburzycieli spokoju publicznego, nie miał innej nielojalności na swojem sumieniu; wprawdzie pan Kalasanty Capowicki uważał całe powstanie z roku 1863 tylko za rzecz, przedsięwziętą w celu wyduszenia pieniędzy od szlachty, a nawet pan Kuderkiewicz, najniebezpieczniejszy agitator w całym powiecie, należał do rzędu tych ludzi, co umieją „podporządkować wszystkie inne interesa“ interesom c. k. monarchii i tylko z powołaniem się na odpowiednie paragrafy c. k. konstytucyi wyznają głośno przy uroczystych okazyach, że są Polakami—ale to nic nie stanowiło, bo w tym kraju *revolutionäre Umtriebe* rosną same z siebie jak trawa na łąkach i nigdy nie można wiedzieć, czy najlojalniejszy na pozór człowiek nie zasługuje właściwie na 20 lat fortecy, tak jak odwrotnie, nie można być pewnym, czy największy i najczerwieńszy radykał nie dostanie kiedy jakiego orderu. Gorliwy urzędnik powinien tedy być zawsze ostrożnym i czujnym, jak twierdził pan Precliczek, powinien wypełniać nietylko rozkazy władz wyższych, ale odgadywać ich myśl i życzenia. Dlatego też, ponieważ pan Precliczek

mniemał, że życzeniem władz wyższych jest trzymać całą *Umsturzpartei* w więzieniu śledczem, dostarczał ile możności jaknajwięcej materyału do śledztw politycznych różnego rodzaju. Przy wyborach do sejmu nie potrzebował on wskazówki z góry, by wiedzieć, że panuje tam życzenie, ażeby wybór z mniejszych posiadłości padł na ks. Nabuchowycza, i w tym duchu kierował prawyborami i nauczał wyborców.

Pan Schreyer nie miał tego delikatnego instynktu. Potrzeba mu było wszystko rozkazać, powiedzieć wyraźnie, a i wtenczas jeszcze wywiązywał się jaknajgorzej ze swojego zadania. Było np., jak twierdził pan Precliczek, życzeniem *oben*, ażeby pisma sporne w procesach cywilnych, redagowane po polsku, zawierały zawsze mniej trafne dowody i wywody, niż pisma tego rodzaju, pisane w języku niemieckim. Pan Precliczek zastosowywał się do tego, i było rzeczą bezprzykładną, ażeby strona, procesująca się po polsku wygrała przeciw stronie, piszącej po niemiecku, jaką sprawę w sądzie capowickim. P. Schreyer nie mógł jakoś pojąć tego zwyczaju i przedstawiał p. Preclickowi nieraz do podpisu referaty i wyroki, przychylne dla stron, używających języka *der Umsturzpartei*, pisał polskie protokuły ze stronami i świadkami, a na-

wet raz poważył się napisać cały referat po polsku, wskutek czego pan Precliczek tak się zirytował, że jego kwasy w żołądku postawiły go w stanie oblężenia, t. j. nie puściły go przez cały tydzień z łóżka.

Przez ten czas Schreyer sądził, a p. Sarafanowycz rządził na własną rękę w powiecie capowickim, p. forszteher zaś, nie czytając żadnych akt, kładł na nich tylko ów znak hieroglificzny, stanowiący zwykle podpis każdego c. k. urzędnika, a w tym wypadku mający znaczyć: Precliczek. *Politicum* szło mimo to zwykłym trybem, ale w sądownictwie działy się *horrenda.*

Pan Schreyer oddał wójta z Karpiówki do kryminału za to, że odmierzył około 100 plag nauczycielowi wiejskiemu z rozkazu księdza parocha, dozorcy szkolnego w Karpiówce. Księdzowa jejmość sprzedała była pewną ilość jakiejś leguminy strączkowej p. Dudkowi w Capowicach, a jak wiadomo, wszelkie strączkowe nasiona muszą był łuszczone i robotę tę najlepiej uskuteczniają dzieci. Nauczyciel, jakiś „niedolaszek“ czy „perekińczyk“, nie chciał pozwolić, ażeby uczniowie i uczennice jego w szkole zajmowali się czem innem, jak tylko zgłoskowaniem i t. p. frasz-kami, i strączki zostały odesłane jejmości z tą uwagą,

że dzieci nie mają czasu. Należała się tedy, jak każdy przyzna, surowa admonicya nieposłusznemu pedagogowi, i wymierzył ją wójt, który położył swojego czasu wielkie zasługi około znanej już czytelnikom konwersyi majątku gminnego na gotówkę, a później na szumówkę. Tego to zasłużonego człowieka nie wahał się p. Schreyer oddać sądowi obwodowemu pod pozorem nadużycia władzy i ciężkiego obrażenia ciała tak, że nieborak dopiero za trzy miesiące odzyskał wolność—„dla braku dowodów“.

Drugi wypadek, który odegra niejaką rolę w dalszym ciągu tej powieści, posłuży za jaskrawszy jeszcze dowód, ile złego może narobić *so ein verfl..... Polack*, jak p. Precliczek nazywał p. Schreyera.

W pewnej rodzinie wieśniaczej przyszło do sporu między zięciem i teściem. Spór przybrał nader żywe rozmiary, i w końcu zięć oświadczył publicznie, że zabije swego teścia. Na drugi dzień sąsiedzi, dosłyszawszy jakieś niezwykłe głosy w chacie, która była widownią tego dramatu familijnego, wpadli tam i zastali zięcia, rąbiącego siekierą— głowę swojego teścia. Ten ostatni, będąc dość słabowitej kompleksyi, nie mógł przeżyć zmartwienia, jakie mu sprawiło to niedelikatne obchodzenie się ze strony jego zięcia. My-

kity, tembardziej, że nawet silniejszym mężczyznom, z małemi wyjątkami, byłoby nieco trudno obchodzić się całe życie bez głowy.

Teoretycy, kryminaliści upatrywaliby zapewne w powyższym wypadku zbrodnię rozmyślnego zabójstwa, ale p. forszteher, głęboki znawca natury ludzkiej i obyczajów prostego ludu, widział w tem tylko zwykłą scenę familijną, zwłaszcza, że i doktór Herz w swojem *visum et repertum* był tego zdania, iż nieboszczyk umarł poprostu na katar kiszkowy, połączony z chronicznym kaszlem i kongestyami krwi do głowy. Ponieważ atoli musi się stać zadość sprawiedliwości, więc mimo próśb p. Mykity, który w tym celu długo konferował z Dudiem i panem forszteherem, p. forszteher skwalifikował jego czyn karygodny jako obrazę honoru, połączoną z dość ciężkiem obrażeniem ciała i, zreformowawszy sprawę w ten sposób, odesłał akta sądowi śledczemu w Kozłowicach. Tam poleżały one parę miesięcy i nakoniec zwrócone zostały sądowi capowickiemu z tą uwagą, że sąd śledczy nie widzi w tej sprawie poszlak ciężkiego obrażenia ciała, a wyrokowanie co do obrazy honoru nieboszczyka Andrucha należy do kompetencyi sądu powiatowego. Na nieszczęście pan Precliczek leżał w łóżku, i —

Stellen Sie sich vor, mawiał później do p. Sarafanowycza, *dieser dumme Gelbschnabel, der Schreyer*, zrobił z tego wszystkiego wielką historyę i odesłał akta do apelacyi!

Zrobił on to z powodu, iż niebożczyk nie mógł oczywiście sam zeznać do protokułu, czy czuje się obrażonym, a inni świadkowie mówili coś o siekierze, o rąbaniu głowy i innych rzeczach, których nawet pewien kronikarz lwowski nie używa do popełniania obrazy honoru mężów, „stojących na straży godności“ i przedpłaty narodowej.

Zjechała tedy komisya kryminalna, zrobiono drugą obdukcyę, uwięziono pana Mykitę, i pierwszym widomym rezultatem tego wszystkiego był ogromny „nos“ z apelacyi dla pana forsztehera. Dalszy przebieg procesu p. Mykity wykaże jeszcze dobitniej, jak dalece młodsze pokolenie prawników pozbawione jest wszelkiego zmysłu praktycznego, i jak niepotrzebnie pomnaża bezskuteczną pisaninę, narzekając ciągle na biurokratyczne nałogi starszych urzędników i na tak zwany „*Schlendrian*“.

Z tych kilku przykładów widzimy, że p. Karol Schreyer nie mógł cieszyć się względami p. Preclicza i że był to człowiek niespokojny i nie na swojem

miejscu, jako c. k. aktuaryusz powiatowy. *Aber was wissen die Weiber*! Człowiek, tak srogi dla wójta z Karpiówki i dla p. Mykity, tak niedelikatny, że nie umiał odgadywać życzeń władz wyższych, i tak niemiły, że p. Precliczkowi na sam jego widok robiło się niedobrze, wydawał się Milci łagodnym jak jagnię, przyjemnym, ujmującym nawet w obejściu. Człowiek, tak ograniczony, że nie widział wulkanu rewolucyjnego, na którym stały Capowice wraz z okolicą, że proste, patryarchalne napomnienie brał za ciężkie obrażenie ciała, a obrazę honoru za morderstwo, wydawał się jej wykształconym!

Otóż to są skutki czytywania pism rewolucyjnych, dzienników literackich i t. p. Dziewczyna nabija sobie głowę ideałami, błękitami, tęczami, gwiazdami, a potem lada czarny wąsik wydaje się jej tęczą, lada para oczu gwiazdami, lada gładkie czoło widnokręgiem nieba — i ideał jej chodzi, rusza się, krząka, je polędwicę i tańczy mazura, jakgdyby nie składał się nigdy z czcionek, albo z ulotnych myśli, ale z ciała, kości i tużurka! Tak jest, niestety, na świecie, ale cóż robić — musimy przyjmować świat takim, jakim jest; przerobić go nie możemy.

Zdecydujemy się tedy już raz uważać to za fakt

dokonany, że pan Karol był owem urzeczywistnieniem ideału Milci, o którem wspomniałem poprzednio. Jeżeli nie przyznała się z tem pani Precliczkowej, to pochodziło ztąd, że nierade przyznajecie się same sobie, moje panie i panny, iż jaki szczęśliwy śmiertelnik znalazł większą od innych łaskę w waszych oczach, póki tenże szczęśliwy, ale swego szczęścia nie znający wybraniec nie nacierpi się, nie namęczy i nie poprosi was mniej lub więcej uroczyście o te względy, któremiście go już tymczasem obdarzyły. Coby to za niespodzianki wydarzyły się w świecie, gdyby nagle wyemancypowano kobiety do tego stopnia, by każda mogła oświadczyć się mężczyźnie, nie czekając oświadczenia z jego strony! Prawda, że i teraz żadna ustawa tego nie zabrania, ale nie chcecie panie korzystać z tej wolności—przynajmniej mnie biednemu jeszcze żadna z was się nie oświadczyła. Ach, kobiety, kobiety!

Milcia rzadko widywała pana Karola. U państwa forszteherów nie bywał on wprawdzie nigdy, chyba *in stricte officiosis*, albo wtenczas, gdy pan Precliczek wyjechał na jaką komisyę, i obie panie, spotkawszy go na spacerze, pozwoliły mu odprowadzić się do domu.

Z czasem, stało się jakoś tak, że pan Karol dowiadywał się z przyjemnością o komisyjnych przejażdżkach p. Precliczka i że nie potrzeba go było prosić, by zaglądnął do bawialnego pokoju państwa naczelnikostwa. Nastąpiło to mianowicie od czasu, jak pan Sarafanowycz tak często pijał tam kawę. Mama uważała, że przy takich sposobnościach Milcia nie patrzyła na piec, ani na sufit, ani na ciemnozielony surdut p. Sarafanowycza, ale tem częściej spoglądała—czy na krawatkę p. Schreyera, czy na jego wąsiki, albo oczy. Zapewne chciała się przekonać, czy doprawdy był tak podobnym do jakiegoś powstańca z roku 1864, któremu *die werthe Familie* p. Precliczka ułatwiła wyjście z kozy a nakoniec wyjazd z Capowic, przebierając go w czapkę ze złotą różą i profanując w ten sposób oznakę urzędowej godności, służącą do nakrycia głowy samemu p. forszteherowi. Milcia rozmawiała przytem dużo z panem Karolem, śmiała się, żartowała, aż powoli, powoli, stawała się nieco więcej zamyśloną i gdy wszyscy wstali od stołu, pani Precliczkowa bawiła zwykle pana Sarafanowycza rozmową.... o cenie ziemiopłodów, wołowiny i innych potrzeb życia, a Milcia scho-

dziła na dół do ogródka, gdzie pielęgnowała różne astry, lewkonie, gwoździki i rezedę.

Pan Karol znał się na ogrodnictwie, jak Żegota Korab, towarzyszył tedy Milci w tych wycieczkach naokoło becyrkowego gmachu i dawał jej różne rady botaniczne.

Raz zdarzyło się, że na grządce między balsaminami i innemi ozdobnemi roślinami wyrósł jakiś brzydki łopuch i, mimo codziennej prawie inspekcyi ze strony Milci i częstych superrewizyi p. aktuaryusza, rozwinął się i rozrósł bardzo potężnie. Pochodziło to zapewne ztąd, że Milcia, gdy była sama w ogródku, miała wyłącznie i nieustannie do czynienia z wielkim słonecznikiem, który rósł koło okna od strony kancelaryi pana aktuaryusza, a gdy inspekcya odbywała się gremialnie, to inspektor patrzył więcej na inspektorkę, a ta na niego, niż oboje patrzali na grządki. Ostatecznie jednak Milcia spostrzegła intruza o szerokim kłapciastym liściu i zawołała:

— Ach, co za szkaradny Sarafanowycz! Trzeba go wyrwać i wyrzucić natychmiast.

— Czy niema pani w swoim ogródku jakiego burzana, któryby się nazywał Schreyer?

— Jesteś pan złym naturalistą; to nie jest burzan, ale rodzaj motylka . . .

Motylek, mający sześć stóp wysokości i wąsy, jak rotmistrz od huzarów! Ale jest to już taki zwyczaj u dziewcząt, że nazywają najgrubszych nawet i najcięższych z pomiędzy nas motylkami, by nam dać sposobność do założenia protestu przeciw temu porównaniu. To też pan Karol protestował bardzo usilnie i prosił o zaliczenie go do mniej niestałych istot. Zapewniano go, że to nastąpi, jeżeli istota w mowie będąca okaże się tego godną. Istota w mowie będąca miała czarne oczy, które obiecywały wypełnienie tego warunku w jej imieniu.

Klasyfikator roślin i motylków zapłonił się mocno, spuścił swoje piwne oczy na dół i był mocno zakłopotany. Poczem p. Karol ujął drobniutką rączkę, która mocno drżała, i pocałował ją raz i drugi, nim ją właścicielka wycofała. Następnie, połączonemi siłami, wyrwano szkaradnego Sarafanowycza z korzeniem i wyrzucono go za sztachety. Ale prawdziwy Sarafanowycz siedział ciągle jeszcze w bawialnym pokoju i narzekał przed panią forszteherową, iż przy teraźniejszej drożyźnie jego pensya nie wystarcza mu na utrzymanie.

Gdy Milcia i Karol wrócili, pan adjunkt zastanawiał się właśnie nad tym opłakanym faktem, że kwarta ziemniaków zawiera czasem zaledwie cztery indywidua rodzaju kartoflanego, a kosztuje 4 centy. Pan Schroyer nadmienił, że braha jest daleko tańszą. Milcia powiedziała coś o względnej taniości osypki. Pani forszteherowa była w ambarasie, ale pan adjunkt przyjął owe uwagi z westchnieniem i bez gniewu, powiedział tylko raz jeszcze: Ach, pani jesteś okrutną! i gdy już było późno, obaj panowie ucałowali rączki paniom i poszli do domu.

ROZDZIAŁ IX.

„Duchowi jego dała w twarz, i poszła.“

Żaluję niezmiernie, że nieszczęśliwy zbieg okoliczności nie dozwolił mi przystępu do archiwów c. k. namiestnictwa, w których znajduje się niejedno, coby mogło mi pomódz do wyświecenia mniej jasnych punktów niniejszej powieści. I tak nie umiem n. p. wytłómaczyć, jakim sposobem wkrótce po owej korespondencyi p. Sarafanowycza z księdzem Nabuchowyczem sprawa suplik małostawickich, pisanych ręką p. Precliczka, zadrzemała jakoś tak szczęśliwie, jak drzemią wszystkie inne sprawy publiczne w tem wiecznie drzemiącem królestwie Galicyi i we wszystkich jego *partibus adnexis*.

Jako dziejopis powiatu capowickiego, wiem tylko, że ksiądz Nabuchowycz jeździł w owym czasie do Lwowa i, wróciwszy, napisał do swego siostrzeńca list, którego treść uspokoiła mocno p. Precliczka. Mniej spokojnym czuł się p. Sarafanowycz, bo na zapytanie, czy może już teraz otrzymać rękę Milci i czy pan Precliczek wypłaci mu posag w gotówce, czy w obligacyach—otrzymał odpowiedź wymijającą, że Milcia nie miała jeszcze czasu poznać go bliżej.

Tymczasem opinia publiczna w Capowicach zaalarmowana była niezmiernie z powodu różnych rzeczy, które miały się dziać u „forszteherów.“ Powtarzano sobie na ucho w całej parafii, ale nie tak cicho, by i sąsiednie parafie o tem nie wiedziały, że pan aktuaryusz Schreyer bywa teraz bardzo często u pp. Precliczków. Pani kasyerowa nie mogła pojąć, jak pani forszteherowa mogła pozwalać na to, by Milcia rozmawiała tak często z p. Karolem, będąc już jakgdyby po słowie z p. Sarafanowyczem. Kasia pani Precliczkowej opowiadała Maryśce p. kontrolerowej, że jej panna rozmawia zawsze coś, jak „z książki“ z p. Schreyerem, że chodzi z nim po ogródku, że szepcą sobie coś pocichu — jednem słowem, było widocznem, że p. Sarafanowycz jest najnieszczęśliwszym z ko-

chanków, i panny kasyerówny, przewidując przyszłość, wróżyły mu także, że będzie najnieszczęśliwszym z mężów. Wszystkie te panie przejęte były świętą zgrozą i litowały się to nad p. Precliczkiem i panią Precliczkową, że im Bóg dał tak lekkomyślną córkę, to nad Milcią, że ma rodziców, nie umiejących prowadzić dziecka. Chrześciańska miłość bliźniego w tym rodzaju daje się zresztą napotykać w większych nierównie miastach, niż Capowice, i jest zawsze bardzo chwalebną, bo świadczy o gorliwem troszczeniu się o cudze dobro. Ma to jednak tę niedogodność, że zacni i kochani sąsiedzi z obawy, ażebyśmy nie zb'ądzili, tak dokładnie śledzą każdą nastręczającą nam się sposobność robienia złego, że najczęściej zła sława wyprzedza każdy nasz błąd, zamiast następować po nim. I tak, w tym wypadku, nim kto jeszcze poznał pannę Emilię, już na dwie mile przed Capowicami dowiadywał się, że nieroztropna ta młoda osoba ma aż dwóch kochanków, że kompromituje się, że jest lekkomyślna i t. d.

Pan Sarafanowycz, który zawsze o tej samej porze odwiedzał przedmiot swoich zapałów, co pan Schreyer, byłby się może nie domyślił, że ma współzawodnika, gdyby nie ta troskliwość sąsiadów. Pan

amtsdiener Schwalbenschweif, wiedząc o wszystkiem od swojej żony, opowiedział mu to pewnego razu, gdy jechali obaj na komisyę w celu schwytania jenerała Mierosławskiego, który miał się ukrywać w pasiece u Sir Jamesa Skrzeczkowskiego, przebrany za piętnastoletnią dziewczynę. Pan adjunkt zamyślił się mocno nad tą okolicznością, że ma współzawodnika w miłości. Wskutek tego jenerał Mierosławski uszedł jeszcze tą razą i w pasiece katarynieckiej znaleziono tylko małego chłopca, który pasał gęsi. Tego przywieziono do Capowic i indagowano bardzo ściśle, dostał nawet od p. Sarafanowycza kilka szturchańców z powodu, że nie chciał się przyznać, ani że sam jest jenerałem Mierosławskim, ani że tego ostatniego widział i ułatwił mu ucieczkę. Śledztwo spełzło na niczem i polecono tylko gminie katarynieckiej, by na przyszłość chwytała wszystkich ludzi z jasnym zarostem u twarzy i wszystkie piętnastoletnie dziewczęta, a związawszy, odstawiała do becyrku. Wskutek tego pewnego pięknego poranku Sir James Skrzeczkowski, zaopatrzony od natury bardzo pięknemi blond bakenbardami, i p. Ksawery Papinkowski, jego samowtór, przytrzymani zostali na gruncie katarynieckim i odstawieni do urzędu powiatowego

pod bardzo silną eskortą, ale puszczono ich nazajutrz, skonstatowawszy identyczność ich osób.

Pan adjunkt bił się z myślami, co począć? Radził się dyurnisty Pióreckiego, czy nie powinienby wytoczyć śledztwa dyscyplinarnego przeciw aktuaryuszowi, ale Piórecki był tego zdania, że c. k. przepisy, jakkolwiek doskonałe i wszechstronne, nie mieszczą w sobie żadnego paragrafu, któryby się dał zastosować do tej okoliczności. Jest tam wprawdzie mowa o uszanowaniu, jakie każdy podwładny nawet po za biurem winien swemu przełożonemu, ale wskutek pośpiechu zapewne prawodawca zapomniał dodać, że aktuaryuszowi niewolno kochać się w tej samej pannie, w której kocha się adjunkt. Wskutek tego opłakanego braku w przepisach, p. Sarafanowycz po dłuższej naradzie z Pióreckim przyszedł do przekonania, że nie zostaje mu nic, jak tylko oświadczyć się pannie, wziąć od niej słowo i prosić potem rodziców o błogosławieństwo.

Piórecki okazał się człowiekiem tak dobrym do rady, że p. adjunkt zasięgnął jeszcze jego zdania co do formalnej strony tak ważnego aktu, jak oświadczyny. Pierwszym warunkiem powodzenia, zdaniem Pióreckiego, był frak. Nikt się jeszcze nie ożenił

bez fraka. P. Sarafanowycz nie miał wprawdzie nic podobnego w swojej garderobie, ale nieoceniony Piórecki przypomniał mu, że pocztmistrz jest w posiadaniu ślubnego swego fraka, wcale jeszcze przyzwoitego, bo, jak potwierdzała p. Schwalbenschweifowa, p. pocztmistrz ożenił się niedawno, w r. 1847. Co się tyczyło innych formalności, jak n. p. odpowiedniego przemówienia i t. p., Piórecki nie wątpił, że p. adjunkt wywiąże się z nich jaknajlepiej, ale pan Sarafanowycz prosił go mimo to, by mu napisał „koncept“ wierszem albo prozą, „bo to człowiek czasem w stanowczej chwili może zapomnieć języka w gębie.“ Piórecki uskutecznił to według życzenia, a p. Sarafanowycz zabrał się natychmiast do memorowania jego konceptu, który uznał za wyborny. Tego dnia rano, kiedy miały odbyć się oświadczyny, Piórecki był u pana adjunkta i, trzymając papier z „konceptem“ w ręku, słuchał jego gorącej przemowy, wskazując mu, w którem miejscu należało uklęknąć, przycisnąć rękę do serca i t. p.

Był to dzień wielki dla całych Capowic, gdy p. Johann v. Sarafanowycz zjawił się na mieście we fraku, w popielatych urzędowych inekspresybiliach, w białych łosiowych rękawiczkach świeżo wypranych,

i w czapeczce z orzełkiem, włożonej trochę na bakier ze względu na wyjątkową okazyę. Wiedziano o tem naprzód, i we wszystkich oknach było pełno ludzi. Na ulicy żydzi, żydówki i żydzięta patrzały z wielką ciekawością na ten majestatyczny widok, który przedstawiał się ich oczom. Cała zgraja dzieci biegła za panem adjunktem, w przyzwoitem oczywiście oddaleniu, bo nie miał on łagodnego charakteru i dzieci bały go się gorzej, niż samego pana profesora. Mniej uszanowania okazywały kundysy i inne zwierzęta tego rodzaju: zdziwione niezwykłym kostyumem, szczekały i goniły za połami fraka, nieco przydługiemi, bo pocztmistrz słuszniejszy był o głowę od p. Sarafanowycza, a w roku 1847 noszono bardzo długie szosy u fraków. Wskutek tego ślubny kostyum p. pocztmistrza znalazł się w niebezpieczeństwie, ale p. adjunkt spotkał na szczęście zwierzchnika gminy capowickiej, pana Mateusza Bryndzę, i oświadczył mu, że każe żandarmeryi wszystkie psy wystrzelać, poczem p. Mateusz, uzbrojony w swoją wójtowską laskę, szedł w tylnej straży za reprezentantem przełożonej nad Capowicami władzy i odpędzał od niej czworonożnych malkontentów. Nakoniec pan adjunkt, przebywszy dziedziniec i wszedłszy na schody, znalazł się w bawial-

nym pokoju państwa forszteherów, gdzie nie zastał nikogo. Czekając zjawienia się Milci, powtarzał sobie „koncept“ pana Piórecklego półgłosem, stojąc przed serwantką i gestykulując bardzo żywo. Milci nie było widać. P. adjunkt czekał bardzo długo, wtem otworzyły się drzwi i z pewnem biciem serca miał już zacząć wygłaszać swoją oracyę, gdy ujrzał, że to była tylko Kasia. Powiedział jej, ażeby poprosiła pannę forszteherównę, bo ma do niej pilny interes. Kasia wróciła z zawiadomieniem, że panna nie może przyjść, bo smaży komplimentury (konfitury?).—Ale powiedz, że mam interes bardzo pilny, rzekł pan adjunkt. Kasia poszła mówić, i upłynął kwadrans, podczas którego Milcia prosiła matki, by poszła przyjąć p. adjunkta, a p. Precliczkowa tłómaczyła jej, że musi koniecznie sama odbyć ceremonię, na którą się zanosi Milcia płakała trochę i ocierała jeszcze fartuszkiem łzy, gdy wchodziła nakoniec do bawialnego pokoju, gdzie zaraz po jej zjawieniu się p. Johann v. Saratanowycz jął recytować tym tonem, jakim niegdys czytywaliśmy w Buczaczu: *Conticuere omnes, intentique ora tenebant inde toro pater Aeneas* i t. d. i t. d.—jął recytować następujące słowa:

— Drogi aniele!

Tu pan Johann v. Sarafanowycz zaciął się i zapomniał, co miał powiedzieć drogiemu aniołowi. Nastąpiła mała przerwa, podczas której p. Sarafanowycz wyjął koncept Pióreckiego z kieszeni, rozłożył go i począł czytać. Ale na nieszczęście, zamiast dalszego ciągu mowy, stało tam: *Protokoll aufgenommen den* i t. d., koncept pisany był bowiem na odwrotnej stronie jakiegoś starego aktu urzędowego a p. adjunkt w pomieszaniu swojem nie wiedział, że potrzebuje tylko odwrócić papier, by się dowiedzieć, co ma mówić dalej, i myślał, że przez pomyłkę wyjął inny rękopis z kieszeni. Powtarzając tedy raz jeszcze: Drogi aniele! rzucił ów protokuł na ziemię, począł szukać po wszystkich kieszeniach nieszczęśliwego konceptu—ale daremnie.

— Czem mogę służyć p. adjunktowi?—zapytała nareszcie Milcia.

— Drogi aniele! Ot, ot... miałem tu... i znowu p. adjunkt zaczął szukać we fraku, w kamizelce i w ekspresybiliach zgubionego konceptu.

— Czy p. adjunkt może co zgubił?

— Nie, nie, ja tylko chciałem powiedzieć pani, to jest,—ja miałem... ja miałem właściwie... to jest,

właściwie ja przyszedłem zapytać się pani, czy pani chce iść za mnie? Ale zaraz...

I znowu zaczęły się poszukiwania zgubionego konceptu. W tej chwili Milcia spostrzegła papier, porzucony przez pana adjunkta na ziemię, i dojrzała na nim owe słowa: Drogi aniele! W jednej chwili domyśliła się reszty i, wybuchając pustym śmiechem, wybiegła z pokoju. P. adjunkt stał chwilę nieco zakłopotany, zobaczył nakoniec, że miał koncept w ręku a nie mógł go znaleźć i, przeczytawszy go naprędce raz jeszcze, rzucił się w pogoń za Milcią przez kurytarz do kuchni. Ale tam, smażenie konfitur zajmowało wszystkie umysły i ręce, Kasia podparła drzwi tak, że pan Sarafanowycz nie mógł się przecisnąć, i, straciwszy znowu koncept i kontenans, zawołał tylko.

— No, panno Emilio, jakże będzie z nami?

— Z nami? nic nie będzie...

— Jakto, więc pani mnie nie chce?

Milcia była już w tej chwili w sypialnym pokoju, przytykającym do kuchni i nie słyszała tego ostatniego zapytania. Natomiast stara Maryna, matka Kasi, usługująca także przy kuchni, odchyliła drzwi i zapytała: Pannunciu, pan hadjunk pytajut sia, cy ich ne choczete?

— Skażit mu szczo ne choczu — odpowiedziała jej Milcia.

— Ale deż, pannunciu, ne znaty szczo! Takij fajnyj czełowik!

— Ot mamuniu,—ozwała się Kasia,—małybyście rozum! Koły pannuncia ne chtiet, to szczo wam do toho? Kasia należała widocznie do stronnictwa Schreyera.

Pan adjunkt stał przez cały czas tej rozmowy na progu, na pół przywarty drzwiami kuchennemi. Przyszło mu nareszcie do głowy, że całe to zajście kompromituje mocno jego powagę, wyszedł tedy, zamykając drzwi za sobą i udał się wprost do biura p. forszteihera.

Pan Precliczek był znowu w kwaśnym bardzo humorze. Sprawa suplik małostawickich odżyła napowrót, z powodu zabicia leśniczego i poranienia gajowego. Rzecz sama przez się nie byłaby miała żadnego znaczenia, gdyby nie nauczyciel, którego pan Kuderkiewicz w Głęboczyskach trzymał do swoich dzieci, i który miał zły nałóg pisywania korespondencyi do *Gazety Narodowej*. Niebezpieczne to indywiduum próbował p. Precliczek już kilka razy *abschaffen*, t. j. wyprowadzić ciupasem z powiatu, ale miało

paszport i było nader zuchwałe wskutek stosunków swoich ze *szrajbpolakami*. Indywiduum to z powodu ostatnich zajść w Małostawicach, wywlokło znowu w gazecie sprawę owych suplik, złożoną już *ad acta* w namiestnictwie. Polecono wprawdzie c. k. prokuratoryi, ażeby wytoczyła proces redakcyi i autorowi tych niecnych napaści na capowicki urząd powiatowy, ale potrzeba było przecież coś zrobić już z temi małostawickiemi kwestyami serwitutowemi, i zawezwano powtórnie p. forsztehera, by się tłómaczył, i to *binnen acht Tagen bei sonstiger* i t. d.

Powiadają, że nieszczęścia chodzą zawsze parami, nigdy jedno nie przyjdzie bez drugiego. To też do odegrzanej kwestyi małostawickiej, przybyła panu Precliczkowi jeszcze druga. Oto szanowny p. Mykita, który niedawno dzięki interwencyi p. Schreyera dostał się był do więzienia obwodowego, udał się do prezesa sądu z prośbą o uwolnienie, motywując tę prośbę tem, że już się wykupił od kary, bo zapłacił 100 złr. p. forszteherowi, a sędziemu śledczemu w Kozłowicach złożył dwa korce pszenicy jako dowód swojej niewinności. Pan Precliczek miał już ze trzydzieści podobnych spraw na swoich barkach, odkąd urzędował w Capowicach, i wychodził z nich zawsze

bardzo szczęśliwie, ale teraz nastały już gorsze czasy i było trochę niebezpiecznem dla najlojalniejszego urzędnika być zawikłanym w procesy tego rodzaju.

P. Precliczek potrzebował tedy więcej niż kiedykolwiek pomocy ks. Nabuchowycza, który, nawiasowo mówiąc, był obroną i ucieczką wielu innych podobnie prześladowanych urzędników na wiele mil wokoło. Zjawienie się p. adjunkta było mu pożądanem, wywnętrzył się przed nim z boleści, jaką mu sprawiało tak niezasłużone prześladowanie. Tą razą p. Sarafanowycz miał także boleść na swojem sercu i w gorzkich bardzo wyrazach opowiedział szefowi swemu przyjęcie, jakiego doznał od Milci. P. Precliczek rozumiał tę rzecz tak, że Milcia, nie mając instrukcyi od ojca, nie chciała przyrzekać niczego p. Sarafanowyczowi, i zapewnił tego ostatniego, iż może być spokojnym — bo on, Precliczek, użyje swego wpływu, *und da wird das Madel gleich anders pfeifen*. Pan Sarafanowycz był bardzo uradowany z tej obietnicy i, pewny jej skutku, przyrzekł ze swej strony wszelką pomoc ks. Nabuchowycza co do sprawy małostawickiej i procesu p. Mykity. Stanęło tedy przymierze zaczepno-odporne wznowione i wzmocnione

między p. Precliczkiem i p. Sarafanowyczem, przy której to sposobności, jako przy drugim terminie sądowym, udało się p. adjunktowi wylicytować się z 8 na 10,000 złr. posagu. Pan Precliczek zaś obiecał niezwłocznie pomówić z Milcią.

ROZDZIAŁ X.

w którym p. Precliczek, zgubiwszy trop „der Umsturzpartei", natrafia na inny, bardzo niebezpieczny spisek, i widzi się spowodowanym zarządzić z tego powodu stan oblężenia, połączony z odpowiedniem bombardowaniem.

Był to jeden z tych pięknych dni letnich, które wydarzają się nawet w Capowicach raz albo dwa razy do roku, i w których słońce wysusza częściowo ulice i place, wystawione na działanie jego promieni. Nawet teraz, kiedy już mamy autonomię gminną i powiatową, jeszcze ciągle słońce z grzeczności wykonywa tę pracę bez udziału zwierzchności i wydzia-

łów, marszałków i burmistrzów. Jest ono jedynym naszym autonomicznym organem drogowym, który czasem pełni swoją powinność. Ale mniejsza o to, kto wysuszył sadzoną topolami ulicę, prowadzącą od becyrku do dworu capowickiego, dość, że tą ulicą, po ukończeniu godzin kancelaryjnych, puścił się na przechadzkę pan forszteher, ażeby przygotować swoje „kwasy żołądkowe“ na przyjęcie rosołu, sztuki mięsa (z chrzanem lub bez chrzanu) i innych posiłków, które przyrządzały się w kuchni, gdzie Milcia smażyła konfitury.

Dla ludności miasta Capowic ta przechadzka pana forsztehera była pożądaną sposobnością do składania dowodów lojalnego usposobienia w formie jaknajgłębszych ukłonów przed najwyższym reprezentantem władzy. P. Precliczek, który był słusznego wzrostu i bardzo szczupły, szedł z głową mocno do góry zadartą i, założywszy ręce w tył, nadawał niemi rodzaj wahadłowego ruchu potężnej, trzcinowej lasce. Mniej lojalny spostrzegacz byłby może porównał spiczastą twarz pana Precliczka do fizyonomii gończaka, który, zgubiwszy na ziemi trop zająca, szuka go w powietrzu i kiwa ogonem dla objawienia trapiącej

go wewnątrz niepewności. Porównanie to byłoby może tem trafniejsze, że pan Precliczek w istocie zgubił trop w owych czasach—było to w sierpniu r. 1866 —i nie wiedział, gdzie się podziała owa *Umsturzpartei*, której wyśledzenie było głównem zadaniem jego urzędowej działalności. Gdyby pan Precliczek czytywał był co więcej, oprócz rozporządzeń, wydawanych przez prezydyum c. k. namiestnictwa i urzędowej, naówczas jeszcze wychodzącej *Lemberger Zeitung*, byłby może wiedział, że *Umsturzpartei* robiła właśnie plany odbudowania Polski zapomocą przemienienia Austryi w federacyę słowiańską, i byłby spał spokojnie. Ale nie wiedział o tem, i nie mógł pojąć, dlaczego u. p. onegdaj na imieninach u p. Kuderkiewicza, pierwszego radykała w powiecie, drugi radykał, pan Bzikowski, powstawszy przy stole, z pełnym kielichem węgrzyna w dłoni, przemówił w następujące słowa:

— „Panowie! W miastach objawiają uczucia lojalne publicznemi demonstracyami, fakelcugami i adresami, ale my, szlachta, choć nie robimy demonstracyi, tem mocniejsze w głębi serca żywimy przywiązanie do tronu i do monarchii. Dlategoteż tutaj, w prywatnem, domowem, rodzinnem kółku, gdzie wszy-

stko mówi się i robi od serca, po staropolsku, a nie dla oka ludzkiego, wnoszę toast: Niech żyje nasz Najjaśniejszy, Najmiłościwszy Pan, niech żyje nasz cesarz i król, Franciszek Józef Pierwszy!"

I stuknęły kielichy, i dwudziestu pięciu właścicieli tabularnych z powiatu capowickiego powtórzyło z głębi serca i płuc okrzyk: Niech żyje! — i każdy z nich płakał jak bóbr, oprócz p. Jakóba Bykowskiego, który płakał jak dwa bobry—od serca, i po staropolsku. Pan forszteher, zawiadomiony przez tajną policyę powiatową o tym wypadku, nie mógł go na żaden sposób zrozumieć, był zupełnie zbity z tropu. Szedł ulicą topolową i wietrzył w powietrzu ową *Umsturzpartei*, która znikła już z ziemi. Wtem nadszedł pan Kalasanty Capowicki z księdzem Zającem, obaj mocno zajęci rozmową o bieżących kwestyach politycznych. Mianowicie zaś zwierzał się pan Capowicki księdzu proboszczowi, że, jego zdaniem, Napoleon „musi koniecznie coś zrobić." Jestto formułka, którą pocieszamy się wszyscy na wsi, odkąd Napoleon Napoleonem. Tymczasem on jak zaklęty przesiaduje to w Saint-Cloud, to w Tuilleryach, to w Compiègne — i nic a nic nie robi. Ale p. Capo-

wicki był przekonany, że na wiosnę koniecznie coś stać się musi; ks. Zając zaś nadmienił, że dobrzeby było, ażeby szanowny kollator kazał jeszcze przed zimą naprawić parkan naokoło plebanii — wskutek czego znowu pan Kalasanty Capowicki zwrócił uwagę, że my właściwie jesteśmy teraz jak u Pana Boga za piecem, bo oprócz Napoleona, także i Austrya musi koniecznie „coś zrobić“ dla nas. Ksiądz Zając wyraził głębokie przekonanie, że tak jest w istocie, i że my nic robić nie potrzebujemy, bo wszystkie roboty byłyby szaleństwem—jednakowoż przydałaby się nowa stodoła na folwarku, należącym do probostwa, zwłaszcza, że kosztorys zrobiony już jest od kilku lat przez urzędowego inżyniera i czeka tylko na potwierdzenie którejś tam instancyi. Poczem pan Capowicki nie mógł utaić nadziei, że instancye będą teraz o wiele względniejsze dla nas, ponieważ jeżeli nie książę Napoleon, to z pewnością który z arcyksiążąt austryackich, albo królewicz saski będzie królem polskim. I już miano rozpisywać elekcyę, albo pytać dyplomacyi europejskiej o zdanie co do tego trudnego punktu, gdy spostrzeżono pana forsztehera. Elekcya została odroczona na później, i po wzajemnem przywi-

taniu rozmowa weszła na praktyczniejszą drogę, albowiem pan Precliczek starał się wyrozumieć ze słów p. Capowickiego, co knowa właściwie *die Umsturzpartei*, a ten ze swej strony radby był zasięgnąć języka, jakie też są szanse rozłożenia zaległości podatkowych na czteroletnią spłatę w kwartalnych ratach? Rozmowa ta przeciągnęła się dość długo i waza dość dawno stała na stole, gdy Pan Precliczek wrócił do domu i zastał obie swoje panie z oczyma mocno zapłakanemi.

Zostawiliśmy Milcię mocno rozweseloną zgubionym konceptem p. Sarafanowycza, winienem przeto zdać sprawę z przyczyn tej zmiany sytuacyi. Nie piszę dla efektu i nie zależy mi bynajmniej na tem, by ciekawość czytelnika utrzymywać w ciągłem natężeniu od rozdziału do rozdziału— a to już z tego powodu, że wyłączyłem zupełnie fantazyę od wpływu na utworzenie niniejszego wiekopomnego dzieła, i przedsięwziąłem sobie spisać historyę niektórych ciekawszych wydarzeń w powiecie capowickim w porządku zupełnie kronikarskim, wiernym i chronologicznym, bez żadnego dodatku z mojej strony. Czynię to w interesie potomności. Za trzysta lat z dzisiejszych po-

wieści dowiedzą się badacze literatury starożytnej, jak sobie nasi poeci urządzali świat i serca ludzkie, jak wiele w XIX wieku było różnych sposobów zakochania się i zamążpójścia lub ożenienia, jak często bogaci jeździli do Ems i do Karlsbadu, a ubodzy zazdrościli im tego — ale tylko z książki pod tytułem: *Wielki świat Capowic*, będzie mógł przyszły Szajnocha lub Lelewel zasięgnąć informacyi, jak doskonale rządzonym, sądzonym i urządzonym był powiat capowicki za panowania pana Precliczka, w dwóch pierwszych decenniach drugiej połowy tego stulecia. Byłoby więc karygodną lekkomyślnością, gdybym do tak wiarygodnego zresztą opowiadania chciał jeszcze robić jakieś własne dodatki, zwłaszcza że z postępem czasu fantazya będzie zapewne wydawać nierównie bujniejsze płody, niż te, na które możemy się zdobyć dzisiaj, i w oczach naszych literatura z prostego rękodzieła przemienia się szybko w przemysł fabryczny. Już dziś jeździ ona „Omnibusem“, niezadługo pędzona będzie parą, i powstaną przedsiębierstwa akcyjne, które spekulować będą na mózg tego i owego pisarza, jak dziś spekulują na źródła nafty, albo na kopalnie miedzi, albo.... na cierpliwość tych, którzy płacą podatki.

Proszę mi nie brać za złe tej małej dygresyi, choć zupa pana Precliczka stygnie, tymczasem i Milcia radaby, ażeby już było po obiedzie, bo chce pójść wypłakać się w swoim pokoiku.

Zaraz po odejściu p. Sarafanowycza odbyła ona radę wojenną z matką i wyznała jej szczerze, że oprócz jakiegoś nieprzezwyciężonego wstrętu do osoby p. adjunkta czuje jeszcze inne moralne zapory, któreby jej nie pozwoliły nigdy zostać panią Sarafanowyczową — choćby tak „ojciec“ kazał. I tak, od czasu owej przechadzki po ogródku, Karol obiecał jej nietylko, że nie będzie motylkiem, ale obiecał nawet, zaklął się i zaprzysiągł solennie, że będzie jej wiernym do zgonu i t. d.

Nie powtarzam tu całej litanii różnych takich zapewnień, bo najprzód powtarzały się one w rzeczywistości bardzo często, a potem wszystkie zaklęcia, gorące westchnienia, cierpienia i nadzieje kochanków, które dotychczas jeszcze nie były po tysiąc razy przynajmniej opisane, zachowuję sobie do innych powieści, gdzie łaskawi czytelnicy będą musieli marzyć. wzdychać i płakać wraz ze mną od początku do końca,

Na dziś uwalniam ich od tego obowiązku i dodam jedynie, że Milcia, wysłuchawszy każdym razem i nauczywszy się na pamięć wszystkich słów Karola, poczyniła była ze swej strony podobniuteńkie obietnice i że pan Karol pamiętał je także bardzo dobrze, a nawet tak dobrze, że czasem mało nie zapisał ich do protokułu, zamiast ustnej repliki lub zeznań jakiego świadka.

Dla c. k. aktuaryusza, zamkniętego przez sześć godzin dziennie między fascykułami za stołem, na którym leżały materyały do nowych fascykułów, było to prawdziwą rozkoszą przechowywać w swej pamięci oprócz takich ważnych rzeczy jak: *der k. k. oberste Gerichtshof hat aus Anlass eines speciellen Falles* itd. jeszcze i przychylne wyroki, wyrzeczone czy wyszeptane w szczęśliwej chwili przez piękne różane usteczka! Panowie prawnicy zdziwią się może, ale tak jest w istocie, i są na prowincyi aktuaryusze sądowi, którzy kochają się tak, jak ludzie kochali się za dawnych, dobrych czasów, a nawet—robią wiersze. Było w albumie Milci kilka utworów muzy pana Schreyera, i nawzajem, p. Schreyer posiadał parę skromnych rymowanych wyznań i westchnień, skreślonych

drobnem kobiecem pismem, a natchnionych zapewne o wieczornej porze wonią rezedy w doniczkach i igraniem wiatru w rozłożystych koronach lipy, ocieniającej okno sypialni.

Jakim cudem Opatrzność, czuwająca nad redaktorami, raczyła zachować *Dziennik Literacki* od tych wszystkich pierwiosnków talentu poetyckiego, tego nie umiem powiedzieć—równie jak nie jestem pewny, czy ta sama dobroczynna opieka rozciągnęła się także na *Nowiny* albo na *Kalinę*. Dosyć, że zaszły westchnienia, wyznania, przysięgi, rymy i inne okoliczności, równie obciążające w tej sprawie i że Milcia oświadczyła mamie, iż pójdzie za Karola, lub umrze. Matki biorą podobne oświadczenia więcej na seryo, niż inni słuchacze i pani Precliczkowa przystała odrazu na to, że umrze wraz z Milcią, albo ją ujrzy szczęśliwą.

I oto pierwszy powód do łez, o których jużeśmy mówili. Dalej, należało się zastanowić nad tem, że pan Precliczek miał także głos w tej sprawie, że nie lubił pana Schreyera, a protegował widocznie pana Sarafanowycza. Oto i drugi powód do płaczu.

Pan Precliczek nie lubił irytować się przed samym obiadem; była to nawet może jeszcze jedna z charakterystycznych różnic między naturą p. forsztehera a zwyczajami polskiemi, że uważał za rzecz zupełnie niestosowną gniewać się, kiedy był głodnym. Nie wiem, czy przyczyn tej różnicy w zwyczajach należy szukać w odmienności temperamentu, właściwego rasie germańskiej a słowiańskiej, czy w tej okoliczności, że u Niemców upływa zwykle daleko mniej czasu niż u nas między nakrywaniem do stołu a połknięciem pierwszej łyżki rosołu lub barszczu.

Jeżeli mi piękne czytelniczki pozwolą objawić moje osobiste zdanie co do tego punktu, powiem otwarcie, że przysłowiu „Polak, gdy głodny, to zły“ winny one same. Oto, kochane moje rodaczki, których poeta niemiecki dlatego tylko nie chciał nazwać „aniołami ziemi“, bo twierdził, że aniołowie są „Polkami nieba“—kochane tedy, anielskie rodaczki moje, jesteście stokroć piękniejszemi, więcej czarującemi i rozumniejszemi, niż Niemki, tańczycie lepiej, rozmawiacie dowcipniej, macie częściej białe i do cudownych perelek podobne ząbki, niż one, kochacie ojczyznę waszą goręcej, a mężów waszych czasem prawie tak sa-

mo jak Niemki swoich — ale w gospodarstwie domowem, a osobliwie już stołowem, niewiasty teutońskiego pochodzenia celują przed wami. Prawda, że trzymacie lepiej w karbach mężów waszych, ale trzymacie ich czasem zanadto. Mianowicie daje się nam to czuć w uroczystej chwili siadania do stołu.

Opowiadano już gdzieś, z jakiemi to ceremoniami, po nakryciu stołu obrusem i kiedy jegomość zagląda ciągle, czy nie przyniesiono jeszcze wazy, w odstępach półgodzinnych przynoszą najprzód karafkę z wodą, potem sól, potem pieprz, potem cukier tłuczony i t. d. Nic dziwnego, że mężulek, najlepiej udyscyplinowany, przy flaszce z wodą zaczyna się rzucać, na widok soli zrzędzi już, jakgdyby był sam w domu, a w pół godziny potem, gdy służący z należytem namaszczeniem wnosi miseczkę z tłuczonym cukrem zamiast oczekiwanej wazy, jegomość buntuje się i zaczyna burmistrzować między służbą, targa chłopca kredensowego za uszy, grozi kucharzowi utratą miejsca i t. d.

W tej półtora-godzinnej przerwie, nawet Zosia z „Pana Tadeusza“ albo Księżniczka ze „Srebrnego

snu Salomei“ nie zdołałaby żadnego męża w Polsce, na Litwie i Rusi utrzymać pod pantoflem. Ztąd przysłowie powyższe, u Niemców nieznane. Ci wygodni panowie z uderzeniem pewnej godziny siadają do stołu, zastają wszystko przygotowane i nie mają czasu się gniewać.

Pan Precliczek nie gniewał się tedy, usiadł, obwiązał szyję serwetą i począł spożywać dary Boże, odkładając na później, jeżeli co miał do powiedzenia, jakgdyby przewidywał, że to może popsuć mu apetyt. Obiad doszedł już był do swojego punktu kulminacyjnego, t. j. do cielęcej pieczeni z sałatą, kiedy pan Precliczek, czując się napół pożywionym, rzucił oczyma wkoło i spostrzegł, że Milcia siedzi zapłakana przed próżnym talerzem, a matka wpatruje się w nią z wyrazem żywego współczucia.

— *Was hast denn, Milchen?* — zapytał pan Precliczek.

— Nic, boli mię trochę głowa — odpowiedziała *Milchen.*

— *Na, s'wird sich schon machen*,—zawyrokował naczelnik urzędu powiatowego i, zajadając dalej

z wielkim smakiem doskonałą cielęcinę, między jednym kąskiem a drugim jął wykładać na pół po niemiecku, a na pół po czesku, że pan adjunkt Sarafanowycz jest *ein sehr anständiger Mensch, der es noch sehr weit bringen wird*; że ma wuja, który go niebawem wyforytuje na sekretarza ministeryalnego, zkąd niedaleka droga do konsyliarstwa, i kto wie dokąd,— że pan Sarafanowycz oświadczył mu swoje zamiary względem Milci, i że on, Precliczek, uważa za stosowne, by Milcia nazajutrz, *hübsch angezogen*, udała się z nim do kancelaryi parafialnej księdza Zająca, gdzie sporządzony będzie protokuł w celu jaknajrychlejszego ogłoszenia zapowiedzi.

Milcia zbladła mocno na te słowa ojca, a według wszelkich prawideł sztuki dramatycznej i powieściopisarskiej powinnaby zemdleć. Żadna jeszcze bohaterka nie miała słuszniejszego powodu do zemdlenia. Milcia nie korzystała atoli z przysługującego jej prawa i po chwili zarumieniła się znowu mocno i jeszcze raz zbladła. Ta gra kolorów na jej pięknej i zazwyczaj tak łagodnej twarzy była odbiciem najrozmaitszych uczuć, jakie mogła i musiała wywołać przemowa p. Precliczka.

Przestrach na myśl, że może za trzy tygodnie zostać panią Sarafanowyczową, i oburzenie, że ojciec mógł rozporządzać jej osobą w ten sposób, jakby jakim sprzętem domowym; skrupuł, czy oburzenie to nie jest zbyt wielkiem przekroczeniem czwartego przykazania: wszystko to naraz musiało wywołać niemałą walkę w sercu, którego głównym lokatorem był znany nam już pobieżnie p. Karol. W końcu siląc się na spokój zewnętrzny, rzekła cicho ale stanowczo:

— Ja nie chcę iść za p. Sarafanowycza, niech sobie szuka innej żony.

— *Wa-a-s?*—zawołał p. Precliczek i, zatrzymując widelec w sałacie, po którą właśnie sięgał, wytrzeszczył oczy na córkę.

— Mówię, że nie pójdę za tego obrzydłego, głupiego i złośliwego sknerę, co zdziera biednych ludzi w całym powiecie, jak jego wuj w swojej parafii. Nie chcę być ani sekretarzową, ani konsyliarzową. Jak pan Sarafanowycz będzie ministrem, niech się ożeni z kasą cesarską, jeżeli nie będzie jeszcze próżna do

tego czasu, albo niech rozpisze konkurs na żonę dla siebie...

— *Wa-a-a-as?* — krzyknął pan Precliczek tym głosem, na który drżało trzydziestu ośmiu wójtów przy każdym *amtstagu.* I, obracając się do p. Preclicz-kowej, dodał: — *Was spricht sie?*

— Ja ojcu tego nie potrafię powiedzieć po szw.... po niemiecku — powiedziała Milcia — ale powiem wyraźnie po polsku: ja nie chcę pana Sarafa-nowycza.

— *Kreutzhimmeldonnerwettersakermentkrucifix-nochamal!*—wrzasnął p. forszteher, zrywając się od stołu. I powtórzył raz jeszcze tę formułkę, dodając znowu dla większego nacisku:—*noch a mal!*

Was popolski? *Was* nekce?

— Pana Sarafanowycza nie chcę — powtórzyła Milcia spokojnie, wstając za przykładem matki. I obie kobiety, przeczuwając burzę, instynktowo zbliżyły się do drzwi.

— *Kreuzhimmel* i t. d.zaintonował— znowu o pół tonu wyżej pan Precliczek i, jakgdyby go własny

krzyk zagrzewał jeszcze bardziej do gniewu, schwycił pulpit od nut z fortepianu i rzucił go na stół między talerze, tłukąc ulubioną swoją szklankę, z której pijał piwo Widok tej szkody dolał oliwy do ognia. *Warts nur, ich werd euch, Kreuzhimmel* i t. d., i za pulpitem polecial gipsowy biust Goethego, tą razą nie na stół, ale na ścianę, gdzie stłukł przypadkiem portret N. Pana, wiszącego naprzeciw Tadeusza Kościuszki, którego umieścila była oddawna Milcia w bawialnym pokoju i który był tolerowanym jak orzeł biały na byłym cekhauzie miejskim przy ulicy Nowej we Lwowie. Nigdy jeszcze Goethe nie stał się narzędziem tak nielojalnego, choć nierozmyślnego czynu. Pan Precliczek biegał po pokoju, jakgdyby stracił zmysły, i wszystko, co tylko mogło być rzuconem, latało i padało w różnych kierunkach: w okna, w ściany, w piec, w drzwi i na ziemię.

Po chwili pokój bawialny pana naczelnika wyglądał jak Lwów w r. 1848 po podobnej zabawce jenerała Hammersteina — a pan Precliczek biegał jeszcze ciągle i krzyczał. Nareszcie wpadła mu pod ręce spluwaczka, która ostała się była w kąciku: chwy-

cił ją oburącz i cisnął z impetem w drzwi, prowadzące na korytarz, właśnie w tej chwili, kiedy pani asystentowa wchodziła niemi w celu złożenia swego uszanowania pani Precliczkowej. Ta ostatnia wraz z córką oddawna już opuściła była plac boju.

Pani asystentowa, cała zasypana piaskiem, cofnęła się pośpiesznie i pobiegła na miasto, opowiadając wszędzie, że straszne rzeczy dzieją się u „forszteherów.“

Nim jeszcze pan Precliczek się wyszumiał, dość znaczna liczba publiczności płci obojga kręciła się naokoło gmachu becyrkowego, by usłyszeć, co się tam dzieje i jak to się skończy?

Ale chociaż bombardowanie bawialnego pokoju dla braku amunicyi musiało być wkrótce zawieszone, piorunujący głos pana Precliczka nie uspokoił się tak prędko. Nastała tylko jedna mała chwila przerwy, podczas której pan Precliczek uchylił drzwi od przyległego pokoju i zawołał:

— *Mutter*!

Był to appel, na który zjawić się musiała każdą razą pani Precliczkowa.

Gdy nadeszła, pan forszteher oświadczył jej jeszcze raz kategorycznie, że protokuł na probostwie musi być jutro spisany; że należy kupić tyle i tyle płótna, materyi różnego rodzaju i t. p. i natychmiast rozpocząć szycie wyprawy; że jutro po spisaniu protokułu ksiądz Zając i pan Sarafanowycz będą proszeni na obiad; i że w razie niedopełnienia tych rozkazów pan forszteher rozwinie swoją urzędową, małżeńską i ojcowską władzę, *dass gleich das Donnerwetter dreinschlagt.*

Następnie, zdaje się, pani Precliczkowa ośmieliła się zrobić niejakie przedstawienie, bo za chwilę pan Precliczek podniósł znowu głos i odpowiedział na te uwagi tak siarczystą filipiką, jak w trzy lata później pan Giskra na wywody Zyblikiewicza w sprawie rezolucyi galicyjskiej.

Żałuję, że kultura niemiecka nie zrobiła jeszcze takich postępów między moimi czytelnikami, bym się mógł ośmielić podać im całą mowę pana Precliczka

w dosłownem, oryginalnem brzmieniu, a w przekładzie straciłaby ona wiele na swojej sile i charakterystyczności! Ograniczę się tedy przytoczeniem treści, według której „dziewczynie przewrócić się musiało w głowie, wskutek zażyłości pani Precliczkowej z rodzinami różnych politycznie podejrzanych mieszkańców powiatu. *Ja, Du und diese verfl..... polnischen Bücher seid's an Allem schuld.*

Rozkazał tedy W-ny naczelnik powiatowy, by wszystkie książki, druki i pisma polskie, znajdujące się w domu, zniesione były natychmiast do jego kancelaryi i wyraził przekonanie, że to wytępi odrazu ducha oporu i niesforności w jego córce. Pamiętał on, że tak postępowały wszystkie racyonalne rządy i że mądrość polityczna nakazuje dla przywrócenia porządku i bezpieczeństwa publicznego przedewszystkiem zarządzić powszechne rozbrojenie.

Zaraz więc tego samego wieczora Mickiewicz, Pol, Słowacki, Korzeniowski, wraz z „Dziennikiem Literackim“, „Kuźnią“ z roku 1862 i innemi pismami poetycznej lub satyrycznej treści, przenieśli się na tymczasowy, przymusowy pobyt do prezydyalnego biu-

ra c. k. urzędu powiatowego w Capowicach, a z całej literatury polskiej nie zostało Milci nic, jak tylko owe rymy, popełnione przez c. k aktuaryusza tego samego powiatu.

Prawda, że rymy te w tej chwili miały więcej wartości, niż cały zbiór Brockhausa i, że wycałowane, zroszone łzami, przespały się pod poduszeczką, na której Milcia złożyła swoją bezsenną główkę, przekonywając się od czasu do czasu, czy te skarby poezyi na skrzydłach swoich końcówek nie uleciały przypadkiem tam, dokąd ulatuje, niestety, zbyt często to, co kochamy i pieścimy w najświętszym zakątku naszej myśli.

Ale końcówki były zbyt mocno przytwierdzone do tych ośmiu lub jedenastu zgłosek. które były ich powodem lub koniecznym wynikiem, i poezye pana Karola rano znalazły się znowu pod poduszką, a ztamtąd przeniosły się przy wstawaniu z łóżka w najbliższe sąsiedztwo serca naszej bohaterki.

Z tego widzimy, że nawet przy zarządzonym stanie oblężenia i po najściślej przeprowadzonem powszechnem rozbrojeniu, każda *Umsturzpartei* umie

zawsze zachować jakąś broń w swojem posiadaniu, i że w interesie spokoju, porządku i bezpieczeństwa publicznego jaknajściślejsze rewizye są niezbędnie potrzebne.

ROZDZIAŁ XI.

traktujący o przedmiocie z filozofii moralnej, tudzież o kwestyi posagu panny Emilii i o różnych „amtshandlungach“ pana Precliczka.

Pod pewnemi warunkami, stosunek dzieci do rodziców może się stać tak drażliwym, że najsurowszy moralista nie byłby w stanie orzec ze zwykłą stanowczością, co należy czynić a czego zaniechać względem ojca lub matki.

Otóż wypaliłem moralno-filozoficzną tyradę, której celu sprytny czytelnik łatwo się domyśli. Ściągnąłem może na siebie gniew najznakomitszego publicy-

sty polskiego, a w ślad za nim anatema z ust cnotliwego felietonisty „Czasu“ i bogobojnego hrabi Beniaminka—a wszystko to w rycerskim zamiarze wytłómaczenia mojej bohaterki, dlaczego nie ukorzyła się przed podwójnym majestatem pana Precliczka: jako swego ojca i jako naczelnika powiatowego.

Według uczonych wywodów o sztuce i poezyi, które miałem przyjemność czytać przeszłego roku w pewnem piśmie polskiem, każda figura malowana, rzeźbiona lub—drukowana powinna być ideałem dobrym albo złym.

Każdy ideał dobry powinien być oczywiście zlepkiem doskonałości wszelkiego rodzaju, t. j. powinien mieć oprócz odpowiedniego wzrostu, nienagannego greckiego profilu i wszelkiej symetryi zewnętrznej, także symetryę wewnętrzną, i zawierać w stosownej ilości miłość dla Boga, dla bliźnich, dla ojca, dla matki, dla pięknych krajobrazów, dla świetnych skutków glicerynowego mydła i dla nieprzysmalonych kotletów.

Tymczasem bohaterce mojej zbywało na jednym z tych warunków t. j. na bezwarunkowej miłości dla

pana Precliczka, który był jej rodzicielem i jej bezpośrednio przełożoną polityczną władzą.

Kochała go zapewne, ale nie mógł on w niej budzić tej świątobliwej grozy, jaką zwykle ojciec budzi w dzieciach, właściciel dziennika we współpracownikach, minister w praktykantach konceptowych albo delegatach galicyjskich, książę w lwowskich demokratach narodowych, wielki pudel w małych mopsach i t. d.

Pan Precliczek, mimo złotego swego kołnierza ze srebrną gwiazdką, był dla Milci bardzo zwykłym śmiertelnikiem, którego p. Precliczkowa nazywała często głupim Szwabem—i który żywił nieubłaganą nienawiść ku wszystkiemu, co Milcia nauczyła się kochać i uwielbiać. Pan Precliczek nie mylił się, że *die verfl..... polnischen Bücher* były winny wszystkiemu.

Dzięki tym drukowanym okropnościom rewolucyjnym, stronnictwo przewrotu wzmogło się pod samym bokiem pana forsztehera gorzej niż w całym powiecie. Stan oblężenia zarządzony był zapóźno i nie wydał lepszych owoców, jak stan wyjątkowy, zapo-

mocą którego pan Giskra chce przekonać Prażan o dobrodziejstwach konstytucyi grudniowej.

Nazajutrz po owem bombardowaniu, którego ofiarą między innemi padła także pani asystentowa, Milcia wstała w usposobieniu jeszcze bardziej opozycyjnem, niż to, które wywołało już raz gniew pana forsztehera.

Pani Precliczkowa była w rozpaczy: między posłuszeństwem, winnem mężowi a miłością macierzyńską, miotały nią najsprzeczniejsze uczucia. To przekładała Milci, że, bądź co bądź, ojca słuchać potrzeba, to znowu narzekała, co się temu głupiemu Szwabowi uroiło w głowie.

Rezultat tego dualizmu nie mógł być korzystnym dla pana Sarafanowycza, bo Milcia coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że żadne przykazanie boskie, ani ludzkie nie może jej zmusić, by została panią adjunktową.

Około godziny 10-ej rano pan Schreyer, porzuciwszy na chwilę swoje biuro, wbiegł do bawialnego

pokoju, gdzie uprzątnięto już, ile możności, ślady wczorajszego zniszczenia, powstawiano szyby i t. d.

Całe Capowice wiedziały już o powodach katastrofy, która nastręczyła tyle zarobku miejscowemu szklarzowi. Pan Karol wiedział o nich także. Pierwszym impulsem jego po otrzymaniu tej wieści była niepospolita ochota połamania kości panu Sarafanowyczowi i muszę wyznać, że jedynie brak sposobności przeszkodził temu, by powieść niniejsza nie miała nader tragicznego końca. A coby to był za specyał dla dzienników wiedeńskich! Aktuaryusz, który z zazdrości ubił adjunkta, a potem rozprawa sądowa, w dodatku jeszcze może kierowana przez pana radcę M....! Artykuł w „Słowie“, przedstawiający w jaskrawych barwach nowe posiagatielstwo Lachów na narodnost' naszą, całe tomy korespondencyi w „Moskiewskich Wiedomostiach“ i w „Gołosie!“

Ale pan Sararafanowycz, jakkolwiek nie był *ein offener Kopf*, zrozumiał, że w interesie narodnosty powinien osobę jednego z najdzielniejszych jej borytelej trzymać w przyzwoitem oddaleniu od pięści takiego Lacha, jak pan Schreyer, a nawet tego dnia przy-

był do kancelaryi w mundurze i ze szpadą oraz z woźnym Schwalbenschweifem u boku.

Tymczasem pan Karol ochłonął z pierwszego gniewu i całą zemstę swoją wywarł na panu Precliczku, któremu posłał do podpisu aż trzy cytacye, stylizowane po polsku, a gdy dyurnista, pan Newełyczko, wrócił z temi dokumentami i z żądaniem pana forsztehera, by były wystawione w języku urzędowym, p. Schreyer zakreślił czerwonym ustęp ołówkiem w rozporządzeniu ministeryalnem, nakazującym używania języka krajowego ze stronami, i posłał go p. forsztehe-rowi do przeczytania. Pan Precliczek był niezmiernie oburzony i zawezwał pana Karola do swego biura, aby mu uciąć reprymendę:

— *Wie unterstehen Sie sich* i t. d.—i właśnie po drodze do prezydyalnego sanctissimum, pan Karol zaglądnął do bawialnego pokoju.

Milcia siedziała przy fortepianie i mimo, a może z powodu zarządzonego w całym domu stanu oblężenia i konfiskaty wszelkich utworów muzy polskiej, przygrywała i śpiewała po cichu:

Za Niemen! hen—precz!
Koń gotów i zbroja: i t. d.

Z wejściem p. Karola śpiew ustał.

Niektórzy powieściopisarze mają ten szkaradny zwyczaj, że bez najmniejszej dyskrecyi opisują wszystko, co się mówi lub robi przy sposobności *tête-à-tête*, jakie nastąpiło w tej chwili. Nie chcę iść za ich złym przykładem i przypuszczać obojętnych widzów do tajemnic sercowych mojej bohaterki więcej, aniżeli tego wymaga całość niniejszej historyi. Zresztą nie byłem wówczas w pokoju, i nie mogę wiedzieć co mówiono. Później dopiero pani Precliczkowa opowiadała mi, że, wszedłszy, zastała Milcię, znowu mocno zapłakaną, a pana Karola w stanie graniczącym z rozpaczą.

Zapewne tedy kochankowie, rozpatrzywszy się w swojem położeniu, znaleźli je nader nieszczęśliwem i przyrzekli sobie wytrwać lub zginąć razem.

Uważałem, że ludzie najchętniej myślą i mówią o śmierci, gdy napotykają przeszkody w miłości. Czasem umierają nawet naprawdę, odbierają sobie

życie lub dostają melancholii — i to wszystko dzieje się w XIX stuleciu, wobec tego olbrzymiego postępu cywilizacyi, który sprawia, że człowiek staje się nieczułym dla wszystkiego, co nie jest zyskiem lub stratą na dyferencyi kursów anglo-austryackiego banku, lombardów i innych papierów.

Ogromnie wiele mamy jeszcze niewykorzenionych przesądów, mimo wszelkiej chluby, jakiej szukamy w tem, że urodziliśmy się o trzydzieści lat później niż nasi ojcowie, a o sto lat później od naszych prapradziadów!

Pani Precliczkowa usiłowała nadaremnie uspokoić Milcię i znaleźć jaki sposób wyjścia z trudnego tego położenia. Milcia przestała płakać i oświadczyła, że będzie towarzyszyć ojcu w wizycie u księdza Zająca, ale zapytała Karola, czy prawa pozwalają zmuszać córkę do pójścia za mąż mimo jej woli? Karol odparł, że w zasadzie ustawy cywilne w monarchii austryackiej opiekują się dziećmi więcej, niż prawa innych krajów, ale w praktyce rzecz ma się cokolwiek inaczej. I jął wykazywać przykładami, że w samym powiecie capowickim zawiera się co roku

bardzo wielka liczba małżeństw między włościanami w ten sposób, że pannę młodą albo pana młodego zapomocą przymusu fizycznego ciągną przed ołtarz i kopulują, nie zważając na to, czy mówi tak, lub nie, podczas ceremonii matrymonialnej.

Pan Karol zdawał się przypuszczać, że to, co pod okiem pana Precliczka mogło wydarzyć się innym poddanym i poddankom Jego c. k. ap. Mości, mogło także spotkać córkę pana forsztehera, albowiem dzieją się w rzeszy Rakuzkiej rzeczy, o których się nawet Konfucyuszowi nie śniło.

Wtem dał się z niedalekiej kancelaryi prezydyalnej słyszeć głos pana forsztehera:

— Nefeliczko! *Zum Teufel noch amal!* — a pan aktuaryusz, przypomniawszy sobie, że jest wezwanym do swego szefa, pośpieszył teraz stawić się w jego biurze.

Nie liczę ja bardzo na sentymentalne usposobienie szanownej mojej publiczności, bo i zkądby się ono brało w tych czasach?

Uczucie wyszło zupełnie z mody, wydawcy nie chcą kupować wierszy; a poeci już nawet *gratis* słuchaczów znaleźć nie mogą. Sam uciekłem onegdaj pewnemu bratu mojemu w Appolinie, który, nie chcąc brać Bajrona od Anglików, ani Szyllera od Niemców, pisze jednego i drugiego oryginalnie po polsku. Chciał mi czytać jakiś nowy swój utwór, pełen czułości i szlachetnych uniesień, ale wymknąłem mu się pod pozorem, że mam pisać książkę dla trzeźwych i praktycznych ludzi i unikam rozmyślnie wszelkich wrażeń sercowych, by się nie udzieliły mojemu dziełu.

Ale pomimo tego, w dzisiejszych czasach nietylko nie krzywdzącego, lecz owszem pochlebnego przypuszczenia, co do umysłowego kierunku znacznej części moich czytelników, śmiem jednakowoż upraszać ich o trochę sympatyi dla mego bohatera, pana Karola, który, czując jeszcze w dłoni swej ciepły uścisk kochanej dłoni i z piersią ścieśnioną na pół rozkosznemi a na pół bolesnemi wrażeniami, zmuszony jest zjawić się w biurze swojego szefa, ces. król naczelnika powiatowego w Capowicach, Wencla Preclitschka.

Przynajmniej jaki młody ochotnik „jednoroczny“, marzący błogo o pięknej jasno-włosej panience, którą widział niedawno z okna swoich koszar, albo o partyi bilardu, którą mógłby grać, gdyby był teraz w kawiarni, albo o chlebie z powidłami, któryby dostał na podwieczorek od mamy, gdyby się znajdował przy niej, albo o innym równie ponętnym przedmiocie — a zbudzony ze swoich marzeń wołaniem pana „führera“: „*Rukować do befelu!*“ — znajdzie pewnie w młodzieńczym swoim zapasie jedną łzę współczucia dla niemiłej sytuacyi, jaką kreślę w tej chwili.

Pan Precliczek, oprócz surduta ze złotym kołnierzem, przywdział był najściślejszą swoją urzędową minę i na widok Karola powstał, rozkraczając nogi szeroko, jakgdyby dla nadania szerszej podstawy dalszym swoim operacyom. Głowę miał nieco pochyloną na piersi i powieki przymrużone, bo ukrywające się pod niemi gromy chował na sam ostatek akcyi. Tak z jedną ręką, założoną za klapę surduta, a drugą opartą na całym stosie akt, leżących na stole, oczekiwał owego nieszczęsnego subalterna.

Za stołem, opartym na nim obydwoma rękami i kołysząc się to wprzód, to wtył, stał pan Johann

von Sarafanowycz, cały uśmiechnięty, z owemi dwoma żółtemi zębami, sterczącemi z pod żółtawych wąsów.

Po lewicy pana Precliczka, znajdował się dyurnista, pan Newełyczko, który miał wzrost grenadyerski, twarz okrągłą, czerwoną i źle ogoloną, a z ubioru i miny podobny był jak dwie krople wody do dyaka z Capowej Woli, do pisarza gminnego z Małostawic, i do wielu innych indywiduów tej kategoryi.

— *Lieber Freund* — zaczął pan Precliczek z owym spokojem, w którym koncertował się czasem cały jego *Amsteifer*, nim przyszło do silniejszego wybuchu.—*Lieber Freund...* I tu rozpoczął długą dysertacyę na ten temat. że kilkakrotnie już napominał pana Schreyera, jako *ein Subaltern-Beamter* winien jest słuchać i szanować swego szefa, jako cytowanie,' interpretowanie i zastosowanie przepisów do takiego *Subaltern'a* nie należy, jako on, *der Amtsvorstand*, wie najlepiej, *was zwischen den Zeilen zu lesen steht, und was der Wunsch der hohen Regierung ist und es sein kann.* Po tym wstępie pan Precliczek przystąpił do obecnego wypadku, podniósł głowę, unicestwił pana aktuaryusza piorunującem spojrzeniem i krzyknął:

— *Wie haben Sie sich unterstanden* itd.

Tu nastąpiło skonstantowanie opowiedzianego powyżej faktu z rozporządzeniem ministeryalnem o używaniu języka krajowego, przyczem pan Newełyczko bił rodzaj pokłonów na znak potakiwania, a pan Sarafanowycz kołysał się jeszcze lepiej, z miną jeszcze bardziej rozpromienioną.

Pan Schreyer odpowiedział spokojnie, że rozporządzenie misteryalne nakazuje używać języka, którego sobie życzą strony, że pan Precliczek mógł o tem zapomnieć i że obowiązkiem jego, jako aktuaryusza, było przypomnieć to swojemu szefowi.

— *Herr Bezirksaktuar, Sie sind ein Esel!*

— *Herr Bezirksvorsteher, Sie sind* — odpowiedział Karol, niestety więcej zagrzany gniewem, niż przystało na obecne, utylitarne czasy — *Herr Bezirksvorsteher, Sie sind ein Schuft.*

Uważałem to od tego czasu za wielkie szczęście, że pan Schreyer (który się zawsze pisze przez *Sch*) nie był nigdy posłem w sejmie, a tem mniej delegatem do Rady państwa.

Gdyby taki gorączka, taki *Ur-Polack*, jak Schreyer, wszedł w oficyalną styczność z ministrami, popsułby wszystko swoją popędliwością, i nie mielibyśmy ani udziału we franko-austryackim banku, ani koncesyjek na kilka innych banków, ani nawet ta nędzna sprawa gorzelniana w Złoczowskiem, gdzie chodziło o kontraband, wynoszący kilkaset złr., nie byłaby wzięła tak łagodnego obrotu Pan Schreyer gotówby był samej wewnętrznej przedlitawskiej Ekscelencyi powiedzieć jaką niegrzeczność w żywe oczy, zamiast pójść do niej na podwieczorek. Jest to już takie nieszczęście z tymi *Ur-Polack*'ami, szczęście, że ich nie posyłają do Wiednia.

Powtarzałbym się, gdybym opisywał wrażenie powyższej repliki na panu naczelniku powiatowym.— *Ich werde Sie ganz einfach suspendiren und anf Ihre Entlassuug antragen*—oświadczył on panu aktuaryuszowi i przystąpił natychmiast do tego *amtshandlungu*.

Dla uspokojenia łaskawych czytelniczek, zrobię tu uwagę, że „suspendowanie" urzędnika, jakkolwiek niesfornego, odbywa się zazwyczaj bez pomocy sznur-

lub innego podobnego przyrządu i składa się po prostu z protokółu i innych niemniej ważnych aktów, które następnie wraz z odnośnym *Berichtem* odsyłają się do władzy przełożonej—podczas gdy istota suspendowana przez czas trwania procesu zamiast zwykłej swojej pensyi, pobiera tylko „alimentacyę“ w kwocie kilku lub kilkunastu centów dziennie.

Każdy bezstronny przyzna, że przy teraźniejszej drożyźnie nie można wymagać od żadnego bohatera powieści, by się utrzymał przyzwoicie za tę kwotę. Już więc z tego względu położenie pana Karola było od tej chwili dosyć smutne.

Musimy go jednak zostawić na czas jakiś sam na sam z jego miłością, rozpaczą i alimentacyą i zająć się dalszym losem naszej bohaterki.

Skończywszy swój *Amtshandlung*, pan Precliczek przywdział urzędową czapeczkę i poszedł przekonać się, czy Milcia gotowa ze swoją toaletą, by mu towarzyszyła do ks. Zająca.

Była niestety gotowa...

Nastręcza mi się tu znowu doskonała sposo-

bność do małej dygresyi autorskiej, której sobie nie mogę darować. Oto, gdybym pisał tę powieść na efekt do feljetonu jakiego (†††!) dziennika, urwałbym rozdział XI w tem miejscu i zostawiłbym ciekawość czytelnika na torturach do jutra, a XII opowiedziałbym dopiero, o ile Milcia gotową była zapisać się według ustanowień konkordatu na żonę p. Sarafanowycza. Ale precz z temi pokusami *à la Ponson du Terrail*: niech rozdział będzie dłuższy, a czytelnik niech się dowie odrazu o wszystkiem.

Miała tedy Milcia zupełną gotowość zewnętrzną: jedwabną czarną suknię, takiż kaftanik i kapelusik, popielate rękawiczki i słońcochron, tudzież chusteczkę od płaczu w kieszeni. Pani Precliczkowa, na polecenie pana Precliczka, wydobyła z komody jej metrykę i świadectwo zaszczepionej ospy, ucałowała ją, zanosząc się od płaczu i za odchodzącym mężem wraz z córką szepnęła pocichu:

— Biedne, biedne moje dziecko! Co się temu obmierzłemu Szwabowi uroiło w głowie?

Było to milczące zastrzeżenie opozycyjne, na wzór tych restrykcyi mentalnych, jakie przedlitaw-

ski minister rolnictwa, Alfred na Złotym Potoku hrabia Pilawa Potocki, musiał sobie robić, gdy solidarnie z pp. Giskrą i Taafem występował przeciw rezolucyi sejmu galicyjskiego i kiedy wiatr w kominach wiedeńskich jęczał na nutę:

Oj Pane Potockij, wojewodzkij synu!...

No, pani Precliczkowa, z domu Hanserle, nie miała przynajmniej ani Sulisława Pilawity, ani Rewery między swoimi antenatami i nie mogła wyjechać do Łańcuta, by tam *procul negotiis*, zająć się w spokoju fabrykacyą rosolisów i poprawianiem ras bydła wszelkiego rodzaju. Była ona dobrą, polską matką, ale przytem posłuszną, niemiecką żoną; pan hrabia Alfred zaś, o ile mi wiadomo, nie poszedł jeszcze za mąż za p. Giskrę, choć wszelkie pozory są po temu.

Miejmy tedy wzgląd dla słabej płci niewieściej. Nie wyrzucajmy jej braku energii, póki każdy Petrino albo Hormuzaki może dworować sobie z naszej płci męskiej.

Za chwilę Milcia i pan Precliczek znaleźli się

w saloniku księdza Zająca, gdzie ksiądz proboszcz przyjął ich ze wszelkiemi względami, należącemi się reprezentantowi rządu w Capowicach, a ksiądz wikary ze wszelkiemi względami, należnemi płci słabej, a zapłakanej i pięknej.

Po krótkiej preliminarnej rozmowie, przystąpiono do ekshibicyi metryki i świadectwa zaszczepionej ospy, poczem ksiądz wikary ujął za pióro, a ksiądz Zając, z miłym uśmiechem klepiąc się po kolanie, począł stawiać Milci wszystkie pytania, jakie zawarty z kuryą rzymską konkordat nakazuje stawiać przy podobnych okazyach. Łaskawe zamężne czytelniczki wiedzą, że są tam między temi pytaniami takie, które ze stanowiska soboru trydenckiego są bezwątpienia nader potrzebne, ale obliczone są niestety na stulecie, nierównie naiwniejsze od naszego. Przyszłym zaś mężatkom niechaj służy do wiadomości, że najsnadniej dostąpi zbawienia wiecznego ta, która przy protokule niektórych z tych pytań wcale nie zrozumie... Snać sobór trydencki odbywał się i uchwalał swoje kanony w czasach, kiedy cnota była niezbyt powszechną i potrzebowała być stwierdzoną protokularnie.

Ksiądz Zając przypisywał bardzo słusznie skro-

mności i wstydliwości panieńskiej ambaras widoczny, w jakim znajdowała się Milcia. Chwilowo zbladła tak, że ksiądz wikary poskoczył i podał jej szklankę wody. To ją ochroniło od zemdlenia, ale zakłopotanie jej i niepokój wzrastały widocznie. Nakoniec ksiądz Zając wygłosił po raz szósty nierozwiązane dotychczas pytanie:

— *Haben Sie schon vielleicht Jemanden das Versprechen geleistet, ihn zu ehelichen?* (Ksiądz Zając, w obecności pana Precliczka, urzędował według c. k. konkordatu i według przepisów świętego Kościoła powszechnego w ces. kr. języku ogólnie-przedlitawskim).

Milcia użyła tu wybiegu, którego doradzam wszystkim moim P. T. ziomkom, ilekroć doręczony im będzie *Zahlungsauftrag* po niemiecku.

— Ksiądz dziekan daruje—ja nie rozumiem po niemiecku...

— *Ja, ja, sie ist so eine verflixte Polin* — rzekł z dobrodusznym uśmiechem pan Precliczek, szczypiąc ją drugim i trzecim palcem prawej ręki w policzek.

To dało jej może czas do namysłu i do skupienia wszystkich sił swoich. Ksiądz dziekan sformułował

swoje pytanie po polsku, z miną namaszczoną i skupioną.

Otóż w tej chwili bohaterka moja zaczyna być prawdziwą bohaterką. Zarumieniła się wprawdzie bardzo mocno i zawahała, ale nakoniec wstała z kanapy i powiedziała stanowczo:

— Tak, przyrzekłam już i przysięgłam komuś, że będę jego żoną. Przysięga moja jest ważną, choć nie miała świadków, dotrzymam jej święcie.

Ksiądz wikary począł mocno kaszlać, ksiądz Zając szukał chustki od nosa, pan Precliczek stał w niemem osłupieniu i był czerwony, jakgdyby go dławił jego złoty kołnierz od munduru.

Ksiądz Zając pierwszy przerwał milczenie, oświadczając, że według praw kościelnych przysięga taka stanowi przeszkodę do zawarcia innego małżeństwa.

Pan Precliczek macał się po piersiach konwulsyjnie, by się przekonać, czy mu się przypadkiem nie śni wszystko, co słyszał i widział w tej chwili.

— *Aber das ist ja nicht möglich! Ich habe doch*

meine väterliche Gewalt—ich bin k. k. Bezirksvorsteher—ich weiss nichts davon.—Milchen, bist du toll? Was fällt dir ein, mein Kind? Willst du mich umbringen? Willst du..... Kreuzhimmeldonnerwettersakermentkruzitärkenallelujanochamal!

Ksiądz Zając spostrzegł, na co się zanosi, i z kapłańskiem namaszczeniem rozłożywszy obie dłonie, wachlował niemi powoli powietrze przed sobą, jak gdyby dla uspokojenia wzburzonych żywiołów. Pan Precliczek spojrzał na niego, jakgdyby się spodziewał wyjaśnienia. Ksiądz Zając otworzył śluzy swojej wymowy i przekładał: Milci bardzo pięknie, jako dzieci winne są cześć i posłuszeństwo rodzicom, jako w wyborze przyszłego męża nikt nie może być lepszym sędzią jak ojciec, jako pan Johann von Sarafanowycz jest ze wszechmiar godnym, zacnym, poważanym, a nawet urodziwym młodzieńcem, i jako kwestya danego już komu innemu przyrzeczenia da się załatwić, bo kościół ma przepisy, ale także prawo odstępowania od przepisów w pewnych wyjątkowych razach.

Ale Milci najtrudniej było zdobyć się na pier-

wsze wyznanie. Teraz, kiedy rokowania były już w toku, i nietylko ojciec, ale ksiądz Zając i ks. wikary znali połowę jej tajemnicy, siła jej oporu wzrastała z każdą chwilą.

Mniemam, że nawet poseł Bocheński, gdyby się raz był tylko odważył być w opozycyi przeciw ministeryum, doprowadziłby potem daleko pod tym względem. Jeżeli niema psychologicznego prawidła, któreby przeszkadzało posłowi z większych posiadłości obwodu brzeżańskiego stanąć na tak niesłychanym stopniu odwagi obywatelskiej, to do czego nie jest zdolnym upór kobiecy!

Wszelkie perswazye księdza Zająca były daremne. Milcia oświadczyła stanowczo, że nie pójdzie za pana Sarafanowycza; że to jest przebrzydły świętojurzec, szpicel policyjny, (jakgdyby te epitety były w istocie ubliżającemi i stanowiły tyleż impedymentów kanonicznych); że ojciec, rozpatrzywszy się, sam nie zechce jej zmuszać do takiego małżeństwa, i—rozszlochała się tak, że nie mogła dalej mówić. Księdzu wikaremu także jakoś na płacz się zebrało, bo wybiegł

z pokoju i udał się prosto do państwa kontrolerów. Za chwilę cała inteligencya i nieinteligencya capowicka mogła widzieć pana forsztehera, jak z oznakami największej pasyi pędził z plebanii do becyrku, zapominając o Milci, która szła za nim powoli, osłonięta woalem i słońcochronem od ciekawych spojrzeń publiczności. Panna kasyerówna zrobiła uwagę, że forszteherówna „strasznie sobie dodaje“. Pani kontrolerowa orzekła, że tak zawsze bywa z jedynaczkami: matka i ojciec psują, i Bóg wie co z tego bywa. Potem pani kasyerowa szeptała coś pani kontrolerowej do ucha i dodała głośno:

— Ale ja temu nie wierzę. A pani kontrolerowa odrzekła:

— Fe, co za plotki! a zresztą — kto może wiedzieć... ja sama uważałam... I znowu pani kontrolerowa nachyliła się do ucha pani kasyerowej, podczas gdy panny kasyerówny i panna kontrolerówna wraz z siostrą pani pocztmistrzowej przedsiębrały wymianę bardzo rozumnych i znaczących spojrzeń, udając atoli przed księdzem wikarym, że nie zajmują się bynaj-

mniej ową szeptaną rozmową i raczej chciałyby wiedzieć, o której godzinie jutro będą nieszpory.

I tak całe Capowice tego dnia, mocno zakłopotane, siadły do obiadu.

ROZDZIAŁ XII,

który kończy się przyrządzeniem kleiku, potrawki z kurczęcia, kluseczek z serem i kompotu śliwkowego — i może mieć niejaki interes dla P. T. pp. lekarzy praktykujących

Gdy pan Precliczek przybył do domu, oczekiwała go już waza na stole, ale zapisanem było w wyrokach losu, że tego dnia nic nie miało się powieść panu forsztelierowi, nawet spokojne spożycie obiadu.

Na progu spotkał się z żoną, która już zdaleka przez okno spostrzegła była po jego chodzie i po giestach, które robił po drodze, że zanosi się na burzę,

niesłychaną dotychczas na widnokręgu małżeńskim państwa Precliczków. Kasia i Maryna, wyglądnąwszy przez drzwi z kuchni na kurytarz, cofnęły się przerażone widokiem groźnej miny pana forsztehera. Zachodziła obawa już nietylko o talerze, szklanki, półmiski i inne projektylia, używane w wojnach domowych, ale można było przypuszczać, że jak niegdyś Tytanowie podnosili góry i wyrywali lasy w swoim gniewie, taki pan Precliczek całe Capowice, Capówkę i Capową Wolę przewróci do góry fundamentami.

Aux grands maux les grands remèdes — wspomniałem już, że pani Precliczkowa posiadała w swojej apteczce małżeńskiej środek, który uśmierzał czasem najgwałtowniejsze wybuchy jej domowego Wezuwiusza. Kobiety nie potrzebują studyów, ani długoletniej wprawy, gdzie chodzi o użycie środków tego rodzaju. Na pierwszy widok swego małżonka sapiącego i parskającego jak lokomotywa, zacna ta i kochająca niewiasta załamała ręce i z wyrazem największego niepokoju w twarzy i w głosie zawołału:

— *Um Gottes Willen was ist dir geschehen? Du bist ja krank!*

Uważny spostrzegacz różnic akcentowych mógł-

by był przy tej sposobności skonstatować, że p. Precliczkowa, *née* Hanserle, przeciągała nieco z krakowska zgłoski „*len i hen*“—a wprawny polityk byłby odgadł, że czuła ta przemowa małżeńska wystosowana była w języku niemieckim z tego samego powodu, z jakiego pan Capowicki, pan Papinkowski, pan Bykowski i wielu innych panów ickich i owskich każą zawsze swoim adwokatom pozwy i podania do władz i do sądów pisywać po niemiecku. Wiele wody upłynie, nim się nauczymy żądać sprawiedliwości po polsku. Niektórzy Polacy galicyjscy dojdą do tej doskonałości może dopiero wtedy, gdy Rada państwa uchwali a N. Pan zatwierdzi ustawę, mocą której nakazanem będzie każdemu surowo używanie tego języka, który najlepiej umie i rozumie. Ale ponieważ ewentualność ta nie ma nic wspólnego z niniejszą powieścią, nadmienię tylko w krótkości, że pani Precliczkowa mówiła po niemiecku jedynie wobec okoliczności tak naglących i niebezpiecznych jak te, wśród których przyszło jej teraz powitać męża.

Skutek był szybki i zupełny. P. Precliczkowi już na plebanii i w drodze do domu przychodziła do głowy straszna myśl, że jego kwasy żołądkowe nie

wytrzymają tak łatwo wzruszenia, na jakie były narażone. Czuł już nawet parę razy jakiś rodzaj czczości, to znowu kurczu we wnętrznościach i nie wpadł bynajmniej na pomysł przypisania tych symptomatów minionej już od dość dawna porze obiadowej; zapomniał bowiem, że protokuł z panem Schreyerem i protokuł z Milcią zabrał był wiele czasu i że mogło już być około 2-ej popołudniu. Spostrzeżenie pani Precliczkowej otworzyło mu oczy co do właściwego stanu jego zdrowia. Natychmiast schwycił się obiema rękoma za żołądek i przybrał w twarzy wyraz tak mocno wzywający politowania, że pani Precliczkowa poczęła nalegać usilnie, by się położył do łóżka. Z wielkiem stękaniem uskutecznioną została ta operacya. Wrząca woda znalazła się w kuchni, w jednem mgnieniu oka pani Precliczkowa przyrządziła sporą dozę rumianku, pieprzowej mięty na uśmierzenie boleści i ciepłe materacyki do okładania zaafektowanej części ciała.

— Powinienbyś raz przecie spróbować magnezyi: na kwasy w żołądku niema jak magnezya — dodała troskliwa małżonka—tą razą po polsku.

Sam Jowisz gromowładny, gdyby leżał w łóżku

z zawiązaną głową i z materacykami na żołądku, popijając pieprzową miętę, przestałby podobno być strasznym, i lada bożek *der zwölften Dittenklasse* albo nawet jaki *Angestellter* w Olimpie patrzyłby bez trwogi na jego pioruny, zawieszone na kołku... Kto wie, czy p. Giskra nie przystałby na kilka punktów rezolucyi galicyjskiej, gdyby dostał ataku choleryny?

Jowisz i Giskra capowicki był w tej chwili bezwładnym i nie dbał, w jakim języku ofiarowano mu pomoc, przystał tedy odrazu na magnezyę. Posłano do apteki, i za pół godziny pan forsztehe spożył taką ilość tej alkalicznej podstawy, że w połączeniu z odpowiednim równoważnikiem kwasu żołądkowego mogło to dać parę funtów jakiej kombinacyi chemicznej drugiego rzędu.

Nadszedł tymczasem dr. Herz, pochwalił środki, przedsięwzięte na razie przez panią Precliczkową, polecił panu forszteherowi jaknajwiększy spokój, leżenie w łóżku, postawienie pijawek i baniek, synapizma i dekokt bzowy z bitem żółtkiem na noty; poczem zapisał mu jeszcze dwie mikstury, jedną rozwalniającą, a drugą wstrzymującą i, wyczerpawszy tym sposobem cały zasób swojej umiejętności medycz-

nej odszedł z zapewnieniem, że chory do rana będzie się miał lepiej—a gdyby nie, to lekkie puszczenie krwi ulży mu z pewnością.

Pośpieszam uspokoić szanowną publiczność, że mimo tych środków ostrożności pan Precliczek nie umarł, ale żyje dotychczas. Są natury tak silne, że wszyscy lekarze z prowincyi razem wzięci, nie potrafiliby ich pokonać. Ale wśród stawiania pijawek, potów i zażywania mikstur, p. Precliczek jęczał i stękał nader żałośnie i opowiadał pani Precliczkowej jakie zmartwienie sprawiła mu Milcia, jak wiele mu zależało na tem, by pan Sarafanowycz został członkiem jego rodziny, zwłaszcza, że w przeciwnym razie może łatwo, jak twierdził, stracić chleb i na stare lata pójść z torbami. Nakoniec spytał, co to może być za przyrzeczenie, na które Milcia powoływała się przy protokule u księdza Zająca.

Pani Precliczkowa mniemała, że teraz przyszła chwila załatwienia sprawy, która jej sprawiała tyle niepokoju. Wiedziała ona dobrze, że pan Precliczek niekoniecznie pójdzie „z torbami“, choć straci posadę; wiedziała także, że już nieraz różne komisye gubernialne i sądowe zjeżdżały do Capowic, a żadna z nich

jeszcze nie tknęła ani włosa na głowie pana forsztehera. Próbowała najprzód tym ostatnim względem uspokoić szanownego małżonka.

— *Ja, du machst die Rehnung ohne den Belcredi!* — odpowiedział pan Precliczek. I po raz pierwszy zniżył się do wyjaśnienia swej żonie tej wielkiej tajemnicy administracyjno-politycznej, że gabinet, który zasystował konstytucyę ludową, nie ma najmniejszego względu na starych, zasłużonych urzędników, i że mógłby tą razą on, Precliczek, przepaść z kretesem, gdyby nie ta nadzieja, że przynajmniej we Lwowie pamiętać będą, ile państwo winno sprężystej jego działalności w latach 1846, 1849 i 1864.

Ale i tu potrzebna była koniecznie interwencya ks. Nabuchowyczi, bo „intrygi“, uknute przeciw panu forszteherowi, były bardzo różnorodnej i skomplikowanej natury, a to rewolucyjne dziennikarstwo polskie bezustannie wywlekało jakieś nowe *Plackereien* przeciw niemu.

Pan Precliczek zwierzył się nakoniec żonie, że wielką część tych prześladowań przypisuje p. Schreyerowi.

Na tyle otwartości, pani Precliczkowa odpowiedziała otwartością ze swej strony. Oprócz kurczów i innych dolegliwości żołądkowych, spadła tedy na pana forsztehera jak nowy grom w tym dniu tak burzliwym wiadomość, że dopiero co zasuspendowany aktuaryusz jest szczęśliwym rywalem pana Sarafanowycza.

Ale jak bohater, ranny na polu bitwy, zbiera ostatnie siły, podnosi się i choć nie może zadać śmiertelnego ciosu wrogowi, rzuca mu przynajmniej ostatnie wyzwanie w oczy, tak pan Precliczek jedną ręką przyciskając do żołądka kołdrę, szlafrok i materacyki, a drugą poprawiając chustkę, która ułożona była w fantastyczny węzeł na jego czole, podniósł się z poduszki i zawołał:

— *Was Schon wieder dieser verfluchte Polack*!— I byłby się może zerwał z łóżka na ziemię, zawołał Newelyczka i zasiadł do pisania nowego protokułu, gdyby mu była pani Precliczkowa nie przypomniała, że jest w potach i że dr. Herz zalecił mu jaknajwiększy spokój.

Pan Precliczek położył się napowrót i odłożył do jutra czynne wystąpienie przeciw panu Schreyerowi, — ale może wskutek gorączki, wywołanej czy

kwasami, czy lekami dr. Herza, nie przestawał zżymać się i grozić, bez względu na to, że niejedno co mówił, powinno było zostać tajemnicą urzędową. I tak wyjawił, że kolega jego, Woslaczek, naczelnik powiatowy z Prądnicy, pod którym służył dawniej pan Schreyer, opowiadał mu, jako *dieser pflichtvergessene junge Mann*, w roku 1863, podczas gdy sądy obarczone były czynnościami z powodu indagacyi powstańców, wziął sobie na podstawie zaświadczenia lekarskiego urlop w maju dla poratowania zdrowia i nie wrócił na swoją posadę aż w marcu 1864.

Pan Precliczek znany był oddawna jako genialny sędzia śledczy w procesach politycznych. Teraz, gdy sobie przypomniał fakt właśnie nadmieniony, obudziło się w nim nanowo podejrzenie, które mu już raz nakształt nieokreślonego przeczucia przeszło było przez głowę.

Schreyer brał urlop dla poratowania zdrowia od maja 1863 aż do marca 1864 r., t. j. przez cały czas, gdy trwało powstanie polskie, aż do zarządzenia stanu oblężenia. Z doniesień i notatek różnych wypływało, że od lipca 1863 roku do końca lata pomieniony Schreyer w istocie bawił w Krynicy, a później dla dalszej kuracyi jeździł zagranicę, podobno do Włoch.

W czasie odwilży lub zbliżającej się słoty, tenże Schreyer uskarżał się mocno na ból reumatyczny w prawej nodze, co mogło być bardzo łatwo bólem innego rodzaju, np. wskutek odzywającej się rany od strzału, lub pchnięcia bagnetem albo lancą.

W jednej chwili cała, okropna prawda stanęła przed oczyma pana Precliczka. Nie ulegało wątpliwości, że od maja do lipca 1863 *der pflichtvergessene Aktuar* zajmował się zaburzaniem spokojności publicznej i brał udział w insurrekcyi przeciw ościennemu, a z monarchią J. c. k. apost. Mości tak zaprzyjaźnionemu mocarstwu, następnie zaś, aż do jesieni 1863, lizał się w Krynicy z rany, otrzymanej na polu bitwy i do marca 1864 bawił zagranicą — może w jakiej misyi rewolucyjnej!!!

Plan pana Precliczka, na podstawie tych nader zmyślnych kombinacyi osnuty, zrobiony był w jednej chwili. Zaraz nazajutrz postanowił sobie uwięzić p. Schreyera, zawołać dr. Herza i dr. Rzeźnickiego, skonstatować czy domniemana rana pochodzi od kuli, czy od pchnięcia, zrobić protokuł i odesłać go sądowi karnemu.

Pijawki, bańki, poty, mikstury i poprzednia irytacya przyczyniła się do tego, że pan Precliczek wpa-

dając w coraz większą gorączkę, nie uważał na obecność żony i myślał całkiem głośno. To wyrzucał Schreyerowi, że knowa przeciw niemu spiski i chce go zrobić żebrakiem, to znowu antycypował przyjemność robienia protokułu z delikwentem i zadawał mu różne zręcznie skrzyżowane zapytania; to dyktował panu Newełyczce *Bericht* do prezydyum namiestnictwa, w którym podnosił niezmierną zasługę swoją w wykryciu tak niebezpiecznego i długo utajonego rewolucyonisty itd.

Pani Precliczkowa spostrzegła z trwogą, że mąż jej naprawdę jest chory i, zwyczajem wszystkich kobiet poczęła go męczyć pytaniami, czyliby czego nie jadł, i coby mu najlepiej smakowało. Ostatecznie zdecydowała, że gorączka przyszła z osłabienia wskutek czczości, i poszła przyrządzić kleik, potrawkę z kurczęcia, leciutkie kluseczki z serem i kompot ze śliwek, jako najskuteczniejsze środki przeciw tej chorobie pana Precliczka, którą, za pozwoleniem wszystkich prześwietnych fakultetów, pozwolę sobie nazwać „maligną protokularną“, po łacinie *delirium becircosum*.

Przechodząc przez pokój bawialny, pani Precliczkowa spostrzegła, że ma drugiego pacyenta w do-

mu. Milcia wróciła z plebanii z ciężkim bólem głowy i z mdłościami, jej bladość przeraziła matkę bardziej, niż pan forszteher z wszystkiemi swojemi piorunami i kwasami żołądkowemi. Pani Precliczkowa obsypała ją pieszczotami i prośbami, ażeby się położyła do łóżka. Prośby te były daremne. Milcia była tak zaniepokojona, że niepodobnem było, ażeby mogła znaleźć spoczynek, nie widziawszy się poprzednio z Karolem.

Mamże powiedzieć prawdę? Ha—pani Dudevant opowiada gorsze rzeczy o swoich bohaterkach, więc i ja przyznam otwarcie, że moja słuchała pod drzwiami i słyszała całą rozmowę ojca z matką, jakoteż groźby jego przeciw Karolowi. Było to niepięknie z jej strony, ale w takich okolicznościach i po scenie, która się odbyła rano u ks. Zająca, niedyskrecya tego rodzaju była mniej trudną do darowania. Zresztą oświadczam, obiecuję w jej imieniu, że stało się to po raz pierwszy i ostatni. Wyznała zresztą matce, że wie o wszystkiem i płakała gorzko nad niewdzięcznością wobec ojca, który, tylko przyciśnięty koniecznością chce ją wydać za Sarafanowycza. Muszę dodać, że płakała niemniej gorzko na myśl o Karolu, z którym może przyjdzie się rozstać i który w części

z jej winy ma się stać prawdziwym męczennikiem, dostać się do więzienia. Co za myśl okropna!

Zrobiłem już raz podobno, a to w innej powiastce, którą mi na szczęście szanowna publiczność zapomniała i przebaczyła, tę uwagę, że nasze siostry i kuzynki nierównie są skłonniejsze do oddawania osób naszych na ołtarz ojczyzny, niż nasze kochanki i żony.

Gdyby Karol był bratem Milci, sama myśl, że należał do powstania w roku 1863, byłaby ją czyniła szczęśliwą, a druga myśl, że może mieć proces, stracić sposób do życia i nadomiar złego siedzieć w więzieniu, byłaby jej się wydawała tragiczną, ale nie tak okropnie nieznośną jak w tym wypadku.

Słyszę już, jak panna ...owska, panna ...icka, i panna ...owiczówna kładą na karb niepolskiego pochodzenia Milci ten niedostatek czystego zupełnie patryotyzmu. Niech i tak będzie—potrzeba coś przecie zostawić Polkom słowiańskiego pochodzenia przed Polkami germańskiej rasy!

Ale coś potrzeba było zrobić, coś poradzić — przynajmniej ostrzedz Karola, by się miał na baczności. Droga, kochana mama nie mogła przecież odmówić swego pozwolenia, ażeby Kasia pobiegła z bi-

lecikiem, wzywającym Karola na chwilkę rozmowy? Nie, nie odmówiła—pomogła Milci płakać przez parę minut i poszła przyrządzać ojcu kleik, potrawkę, kluseczki i kompot, podczas gdy Kasia pobiegła z bilecikiem.

Macierzyńska ta koncesya uspokoiła Milcię cokolwiek. Poszła rozmyślać bez płaczu nad zdarzeniami dnia całego i nie mogła się nawet wstrzymać od uśmiechu, przypominając sobie ambaras ks. Zająca i ks. wikarego w chwili, gdy im podała do protokułu ową stanowczą deklaracyę, że ręka jej już jest przyrzeczoną komu innemu, niż panu Sarafanowyczowi. Milcia domyślała się, że całe miasto, ba, cały powiat wie już o tem zdarzeniu i znajdowała szczególną przyjemność w tej myśli.

Jestto integralną częścią tego szczęścia, którego doznajemy w kochaniu, by ludzie domyślali się i widzieli, że kochamy i jesteśmy kochanymi lub kochanemi. Już to samo, że świat w rozmowach i plotkach swoich łączy nas z osobą kochaną, wydaje nam się zapowiedzią i jakby przedsmakiem przyszłego rzeczywistego połączenia.

Milcia, w tej chwili myśląc o Karolu, wyobrażała sobie, że miłość ich nie jest bez nadziei. Ależ ten

Karol! Czemu jej nigdy nie mówił o swoim udziale w powstaniu? Wszak onaby go nie zdradziła! No, tem piękniej z jego strony, że taki skromny. Ale zawsze mu się należy mała reprymenda. Trzeba się trochę podąsać na niego.

Wtem dały się słyszeć kroki na schodach, i Milcia zapomniała o reprymendzie i o dąsaniu.

ROZDZIAŁ XIII,

w którym pan aktuaryusz Schreyer zwala Olimp swoich insubordynacyi na Ossę innych swoich karygodnych czynów, a Pelion w postaci pana Sarafanowycza zostaje na spodzie.

Mam opisać scenę, pod każdym względem rzewną i dramatyczną, to jest mam doskonałą sposobność wynudzić moich czytelników stenograficznem sprawozdaniem z rozmowy, która nastąpiła między Milcią i Karolem, podczas gdy p. Precliczek w gorączkowych widzeniach swoich przeprowadzał przeciw aktuaryuszowi c. k. sądu powiatowego w Capowicach ostateczną rozprawę w procesie o zbrodnię zaburzenia spo-

kojności publicznej według § 66 k. k. a pani Preclicz kowa przyrządzała „coś lekkiego“, aby przywrócić zdrowie i siły zacnemu swemu małżonkowi.

Rozważyłem ato i, że rozmowy tego rodzaju interesujące są tylko o tyle, o ile się w nich bierze udział czynny jako strona interesowana. Dla obojętnego, zimnego słuchacza mają one tylko tyle powabu, ile go ma opis zjedzonego kiedyś obiadu dla człowieka, który właśnie cierpi na niestrawność, albo o ile go mieć może opowiadanie o cnotach Cyncynnata lub o wstrzemięźliwości Fabrycyusza dla męża, wybranego przez Opatrzność i stu czterech właścicieli tabularnych na rzecznika interesów galicyjskich w parlamencie przedlitawskim.

Czego nie pragniemy lub nie praktykujemy w rzeczywistości, to i w poezyi nie ma dla nas uroku. Oto cały sekret powodzenia realizmu nowoczesnego, że w powieści, na scenie, w obrazach i rzeźbie daje on ludziom tylko to, co lubią i robią sami. Dlatego też w powieściach znajdujemy traktaty ekonomiczne, na scenie watę, róż i powiewne greckie stroje, a na wystawie obrazów same portrety, jako konter-

fekty stojącego na pierwszem miejscu naszego *ja*, tego ideału, poruszającego wszystkie nasze czynności.

Któżby dziś słuchał czułego gruchania dwojga kochanków, wyjąwszy jeżeli żeńska część gruchającej pary ma na sobie trykoty, jak w „Iskrze“ Halma, i jeżeli do poetycznych zwrotów, obijających się o ucho, oko może dodać realny, prozaiczny komentarz? Wyjątek stanowi we Lwowie panna Romana Popielówna, która ma przywilej zachwycać nawet giełdzistów, i to nawet w długiej sukni. Ale panna Popielówna jest znakomitą artystką, a bohaterka, której dzieje opisuję, nie była nią wcale, przeto jej przymilanie się, szczebiotanie i kwilenie nie może liczyć na takie względy szanownej publiczności. Z tego wynika, że zamiast dramatycznego opisu owej rozrzewniającej sceny z Karolem, wolę opowiedzieć w streszczeniu, jak się to wszystko odbyło.

Najprzód tedy Milcia doniosła p. Schreyerowi o niebezpieczeństwie, które wisiało nad jego głową, a on przyjął to z jaknajwiększym spokojem i odrzekł, że nic mu się stać nie może, bo niema dowodów, aby kiedy był w powstaniu. Z kilkomiesięcznego zaś więzienia śledczego nie robił sobie nic zupełnie. Tu Mil-

cia oświadczyła, że chyba jej nie kocha, jeżeli mu są obojętnemi przykrości, które go spotkać mogą. Karol był z początku tego zdania, że przykrości, których uniknąć niepodobna, należy znosić z rezygnacyą, ale wyraz rezygnacya jest tak okropny dla młodego wieku, że Milcia nie mogła go znieść na żaden sposób, tembardziej, że był on tu równoznaczący z rozstaniem się na zawsze.

To zachwiało rownowagę umysłową Karola. Kochał on Milcię bardzo i także nie chciał myśleć o rozstaniu. Raczej już o śmierci. Roztrząśnięto potem raz jeszcze wszystkie stosunki, szanse i nadzieję, i zdecydowano, że obopólne położenie jest w najwyższym stopniu rozpaczliwe. Z rozpaczliwego położenia wyjść można tylko rozpaczliwemi środkami, a takiemi są: cierpliwość, wykradzenie i — znowu śmierć.

O cierpliwości nie mogło być mowy w tym wypadku między aktuaryuszem sądowym, który traktuje swego szefa w napadzie gniewu tak, jakeśmy to wyżej widzieli, i panną, która nie chce mówić po niemiecku nawet z JEksc. panem jenerał-gubernatorem. Co do wykradzenia, połączone jest ono z niejakiemi trudnościami, osobliwie w Capowicach, gdzie

sąsiedzi wiedzą nietylko jak kto siedzi, ale nawet na którym boku śpi i ile razy obraca się na łóżku w nocy. Potem wobec konkordatu, metryk protokułów i kart legitymacyjnych, dawny romantyczny sposób brania ślubu gdzieś w jakimś odległym kościołku, w najgłębszej tajemnicy, nie da się już dziś zastosować.

Powieściopisarze stracili niezmiernie wiele na tej zamianie stosunków, chyba że mają bohaterów, którym dana jest możność wyjechania zagranicę i uniknięcia formalności przedślubnych, jakoteż biura meldunkowego w c. k policyi. Zważywszy tedy, że Karol i Milcia cierpliwością nie chcieli, a przemocą nie mogli pokonać nienawistnego losu, uchwalili wspólnie, że najlepiej im będzie — umrzeć.

Na oko niema też nic łatwiejszego—ale tylko na oko. Śmierć ma tak dobrze swoje kaprysy, jak każda inna kobieta, i najtrudniej o nią wtedy, gdy się jej najmocniej pragnie.

Sam pragnąłem raz koniecznie zginąć i szedłem do powstania z tem postanowieniem, ażeby nie uniknąć żadnej kuli i żadnej lancy kozackiej, a tymczasem po drodze zamiast śmierci, spotkałem c. k.

żandarmeryę i dostałem się nie na tamten świat, ale do kozy. Myślałem, że tam przynajmniej zaduszą mię przykre wyziewy, zamęczą protokuły, lub zanudzą romanse francuskie, których miałem podostatkiem. Ale gdzie tam!—przetrwałem to wszystko, nawet kuracyę c. k. lekarza sądowego i fortepian pani kerkermajstrowej, brzęczący od rana do wieczora o dwadzieścia kroków od mojej celi.

Karol i Milcia mieli także bardzo silne zdrowie i myśleli sobie każde dla siebie, że nie umrą tak prędko—nie ręczę jednak, czy nie zamyślali w ostatecznym razie dopomódz naturze i przyśpieszyć termin zgonu jakim bezbożnym sposobem. W romansowych głowach podobne przedsięwzięcia powstają nader snadnie i statystyka wykazuje, że wykonywane bywają dość często.

Na tym punkcie tragicznym stanęła była rozmowa i pan Precliczek, posiliwszy się tymczasem, dzięki staraniom nieocenionej swej połowicy, czuł się o tyle zdrowszym, że przywdział szlafrok i pantofle, zapalił fajkę i chodził tam i nazad po swoim pokoju, gdy znowu dały się słyszeć krcki na schodach, otworzyły się drzwi i wszedł nie kto inny, jak tylko sam

pan Johann von Sarafanowycz, z najpiękniejszym swoim uśmiechem na twarzy. Uśmiech ten skamieniał jednak na widok tego, co się działo w bawialnym pokoju państwa forszteherów.

Karol i Milcia siedzieli na sofie bardzo blisko siebie, ona miała głowę i jedną rękę opartą na jego ramieniu, a drugą pozwalała mu ściskać i całować dowoli, wpatrując się, jak w obraz, w jego duże czarne oczy.

Pan Sarafanowycz stanął jak wryty i zawołał:

— A to co?— *Was ist das?* — dodał, poprawiając się i wzrokiem inkwizytorskim mierząc to p. Karola, to Milcię.

Milcia zapłoniła się i zerwała z miejsca, ale chwilowe i naturalne jej zakłopotanie, dzięki rozkazującemu tonowi i imponującej minie pana adjunkta, ustąpiło miejsca oburzeniu.

— Czego pan sobie życzy?—zapytał Karol.

— Jakto, czego ja sobie życzę? Ja sobie życzę wiedzieć co tu panna Emilia robi z p. Schreyerem? *Was hat das zu bedeuten?*

— Panu nic do tego—odpowiedział pan Schreyer —nie masz pan prawa indagować tu nikogo.

— Zobaczymy, *wir werden sehen!* Ja się zaraz

spytam pana becyrksforsztehera! I posunął się ku drzwiom, które prowadziły do pokoju pana Precliczka.

Milcia, przerażona tą groźbą, zastąpiła mu drogę i zawołała:

— Panie, tam nie można iść, mój ojciec jest słaby!

— To nic nie szkodzi, pan becyrksforszteher musi dowiedzieć się, co się dzieje w jego domu. Panna Emilia ma zostać moją żoną, *meine Ehefrau* i to na żaden sposób być nie może, *es ist ganz unzulassig*, ażeby panna Emilia romansowała z panem Schreyerem. *Das kann nicht gedultet werden.* Ja sobie to wypraszam, - dodał—uderzając się w piersi przy słowie: ja—poczem przypomniawszy sobie jeszcze jeden frazes półurzędowy, powtórzył dla lepszego wyjaśnienia po niemiecku: *Das werde ich mir ausbitten!*

Możnaby było znaleźć rozweselającą stronę w tem zachowaniu się pana Sarafanowycza, ale ani Karol, ani Milcia nie byli w usposobieniu do robienia wesołych uwag. Karol na chwilę oniemiał z gniewu, Milcia prędzej od niego zdobyła się na odpowiedź.

— Kto panu powiedział, że ja mam zostać pań-

ską żoną? Zkąd pan masz prawo rozkazywać, mi cokolwiek lub zakazywać?

— A czy to panna Emilia nie wie, co to jest *die väterliche Gewalt*? To stoi napisano w paragrafie... w paragrafie... jednem słowem, pan becyrksforsztehher wydaje pannę Emilię za mnie, i koniec! To jest *die väterliche Gewalt*!

— A choćbyś pan to powtarzał po niemiecku z dziesięć razy, to nic z tego nie będzie i ja nie pójdę za pana! Mówiłam to już ojcu i księdzu proboszczowi i powtórzę to sto razy: nie chcę i nie pójdę!

— Ooo! — zawołał pan adjunkt, który miał snać większe jeszcze wyobrażenie o władzy pana forsztehera, niż ten dostojnik sam — ho! ho! ho! Zobaczymy, *das werden wir sehen*! A potem dlaczegoby pan na Emilia nie miała pójść za mnie? — dodał nieco łagodniej. — Jestem sobie niczego i mam, Bogu dzięki, *eine Stellung*—panna Emilia zrobi szczęście; tylko te romanse z panem Schreyerem, to ja sobie wypraszam, *ja, das werde ich mir ausbitten*!

— Panie Sarafanowycz — odezwał się Karol przytłumionym od wściekłości głosem — jesteś pan zbyt ograniczonym, byś pan mógł zrozumieć, że gadasz same głupstwa i obrażasz damę, do której mó-

wisz. Ale jeżeliś się wychował w lesie, to ja pana nauczę grzeczności.

— A to co? *Was ist das? Was haben Sie hier zu reden, Sie, polnischer Rebellant? Ich bin k. k. Bezirksadjunkt, wissen Sie das?* — I pan Sarafanowycz przybrał taką minę, jaką mu nakazywało poczucie urzędowej swojej godności.

Przekonaliśmy się już raz, że pan Schreyer na niegrzeczności niemieckie zwykł był odpowiadać po niemiecku. Nazwa *polnischer Rebellant* nie wydawała mu się może w gruncie tak ubliżającą, ale całe zachowanie się pana Sarafanowycza i przykre położenie, w jakiem ono stawiało Milcię, doprowadziło jego cierpliwość do ostatecznych granic. Wywiązała się tedy krótka i żywa dyskusya niemiecka, którą podaję tu według spisanego później protokułu, znajdującego się do dziś dnia w Kozłowicach, między przeniesionemi tamże aktami c. k. urzędu powiatowego z Capowic.

— *Sie sind ein ungezogener Bengel!* — rzekł pan aktuaryusz.

— *Ich bin k. k. Bezirksadjunkt, und ich werde Sie disciplinarisch behandeln* — odparł pan adjunkt.

— *Ich werde Sie behandeln*!—rzekł znowu pan aktuaryusz z groźnym gestem, postępując krok naprzód, podczas gdy Milcia chciała się już rzucić między obu przeciwników, dla powstrzymania wszelkich czynniejszych objawów namiętności. Ale pan Sarafanowycz, nie czekając na ten nowy sukurs, rzucił się ku drzwiom, otworzył je i począł wołać z całej siły:

— Schwalbenschweif! Schwalbenschweif!

Tego było zawiele dla Karola. W okamgnieniu postanowił, dla uniknienia dalszego skandalu w pokoju, w którym była panna Milcia, przenieść przynajmniej teatr wojny na kurytarz, albo na schody. Rzucił się tedy na pana Sarafanowycza i schwycił go —tak przynajmniej stoi w owym protokule — schwycił go za prawe ucho. Pan Sarafanowycz, chcąc się cofnąć, przymknął sobą drzwi, które, niestety, otwierały się z kurytarza na pokój, wskutek czego wszelka bezpośrednia komunikacya ze schodami została przecięta. Pan adjunkt zmuszony był wskutek tego cofać się ku drugim drzwiom i zdołał oswobodzić swoje prawe ucho dopiero wtenczas, gdy już pootwierały się były wszystkie drzwi, prowadzące do bawialnego pokoju; z jednej strony zjawiła się pa-

ni Precliczkowa, z drugiej Schwalbenschweif i Newełyczko, a z trzeciej w szlafroku i w pantoflach sam pan forszteher. Uwolnienie ucha pozbawiło jednak pana Saratanowycza na chwilę niezbędnej każdemu ciału równowagi, tak, że wraz z wejściem wszystkich tych osób, znalazł on się na ziemi w pozycyi nader niekorzystnej dla wszelkiego *decorum* urzędowego i prywatnego. Pan forszteher przez cały długi przeciąg swego urzędowania nie widział nigdy tak gorszącej sceny.

ROZDZIAŁ XIV,

z którego pokazuje się, że ks Nabuchowycz będzie musia szukać innej żony dla swego siostrzeńca.

Za dawnych, świetnych rycerskich czasów należało to do dobrego tonu dowieść swojej wyższości na skórze rywala, wysadzić go z siodła na turnieju lub nabić mu w inny sposób porządnego guza. Dziś nie jest to ani *bon genre*, ani też nie uchodzi bynajmniej za dowód jakiejkolwiek wyższości. Mówią np., że konserwatywna, ministeryalna frakcya reprezentan ów narodu galicyjskiego w rajchsracie wiedeńskim posiada w osobie pewnego niepospolicie wyro-

śniętego syna podkarpackiej krainy tak dzielnie *brachium militare*, że właściwie całe opozycyjne dziennikarstwo powinnoby drżeć ze strachu wobec chwili, w której ten Don Kiszot huculski wystąpi czynnie w obronie słynnego „podporządkującego“ programu Nie słychać atoli, by którykolwiek z zagorzałych naszych rezolucyonistów dzwonił zębami, a choćby zresztą który z nich poniósł nakoniec jaki szwank fizyczny, nie byłoby to, w mniemaniu powszechnem, na żaden sposób moralnem zwycięztwem interesów ogólno-państwowych nad „podporządkowanemi“ interesami królestw Galicyi i Lodomeryi z ich przyległościami.

Dlatego też obawiam się, że opisany w poprzednim rozdziale i później protokularnie stwierdzony zamach pana Schreyera na prawe ucho pana Sarafanowycza w dzisiejszem nieromantycznem stuleciu nie podniesie zwycięzcy do większego znaczenia w oczach opinii publicznej, a narodnost', pognębiona, wytargana za uszy i wywrócona na ziemię w osobie jednego z najrewniejszych swoich swoich borytelej, weźmie ztąd świeży i słuszny asumpt do skarg na okropne posiagatielstwa ze strony Lachów.

Jeżeli już tedy nie ze względu na wyższą rangę służbową swego przeciwnika, to ze względu na potrzebę zgody ze stronnictwem „Słowa“, pan Schreyer powinienby był hamować swoją popędliwość i nie dopuszczać się tak czynnego naruszenia stosunków międzynarodowych.

Ale stało się! Pan Sarafanowycz leżał na ziemi, pan Schreyer stał nad nim z wyrazem twarzy, nie znamionującym najmniejszej skruchy za ten czyn karygodny, Milcia, mocno przerażona, chroniła się w objęcia matki, a pan Precliczek patrzał na całą tę scenę z miną w najwyższym stopniu zdziwioną i zgorszoną.

Tylko pan Newełyczko i p. Schwalbenschweif nie brali jakoś udziału żywego w tem, co się działo przed ich oczyma — zdawało się, jakgdyby obaj byli zajęci jakiemiś daleko ważniejszemi myślami. Co się tyczy pana Schwalbenschweifa, mogę zapewnić, że był on w tej chwili, równie jak codzień o tej porze, po dwunastej szklance piwa i że wpływ tego nektaru ożywiał wprawdzie i tak już mocno rumianą cerę jego policzków i nosa, ale natomiast pod względem umysłowym objawiał się najwyższą obojętnością na wszystko,

co się koło niego działo. Wszak nieraz widział pan Schwalbenschweif w takich razach całkiem wyraźnie, jak gmach becyrkowy, wziąwszy się pod boki, tańczył szalonego walca ze stojącą opodal plebanią i w wirującym pędzie migał mu się przed oczyma, a jednak nawet to nadprzyrodzone zjawisko nie pobudzało go do najmniejszych refleksyi.

Czasem znowu księżyc, na jednym swym rogu mając urzędową czapeczkę ze złotym sznurkiem i takąż różą, a zresztą z wychudzonej na nowiu swej fizyonomii najzupełniej podobny do pana forsztehera, zdawał się patrzyć nań ostro z góry, gdy wracał z browaru do domu, a pan Schwalbenschweif kłaniał mu się uniżenie, ale bez żadnej trwogi i wygłaszał tonem na pół konfidencyonalnym:

— *Wünsch' eine-nen unterthä-thänigsten Servus, Herr Be-bezirksvo-vorsteher!*

Pan Schwalbenschweif nie zastanawiał się tedy i tą razą nad dziwnym rodzajem komocyi, jakiego używali pan adjunkt i pan aktuaryusz w pokoju pana forsztehera, ale zdjąwszy czapkę, stał przy drzwiach z uśmiechem błogiego spokoju na twarzy i ogromną

teką w rękach, zawierającą „kawałki“ urzędowe, które właśnie nadeszły były pocztą. Był to bowiem jeden z tych dwu dni w tygodniu, kiedy Capowice komunikowały się z resztą świata zapomocą wózka jednokonnego, przywożącego kilkudniowe zaległości pocztowe z Kozłowic.

Pan Newełyczko nie miał żadnego urzędowego „kawałka“ w rękach, ale za to twarz jego w tej chwili sama była jakby urzędowym „kawałkiem.“ Tkwiła w niej jakaś wielka tajemnica stanu, która tak ciężyła zacnemu dyurniście, że gimnastyczne ćwiczenia pana adjunkta obudziły w nim tylko przemijające zdziwienie. To też pan Precliczek, zapytawszy raz głośno:

— *Was ist den das?*—i rzuciwszy wzrok piorunujący na pana Schreyera, gdy powiódł okiem po wszystkich obecnych, dostrzegł natychmiast z miny pana Newełyczki, że się coś stało nadzwyczajnego.

— *Was gibt's denn schon wieder*, Nefeliczko? — zapytał z pewnym niepokojem.

Pan Newełyczko oświadczył, że ma *etwas Wichtiges zu melden*, poczem pan forszteher cofnął się do

swego pokoju, dając znak dyurniście, by szedł za nim. Pan Sarafanowycz dostał się już był tymczasem napowrót na nogi i, czując się bezpieczniejszym w obecności pana Schwalbenschweifa, odgrażał się niepospolicie Karolowi, który ze swej strony przy pomocy Milci tłómaczył, jak mógł, całe to zajście wobec pani Precliczkowej. P. Schwalbenschweif stał ciągle przy drzwiach i ze stoicką obojętnością przypatrywał się otaczającym go przedmiotom, nie badając bynajmniej, czy falujące i wirujące tychże ruchy były optycznem złudzeniem, czy nieuniknionym skutkiem jakiegoś, powszechnie w fizyce obowiązującego prawidła?

Ważne owe rzeczy, które pan Newełyczko miał do zameldowania panu forszteherowi, były rzeczywiście zatrważającej natury. Oto przed chwilą pan Kuderkiewicz, dzierżawca z Głęboczysk, przejechawszy na pocztę po gazety i listy, spotkał się tam z panem Bykowskim i głośno, na ulicy, przywitał go temi słowy:

— A co, czytałeś pan, panie Jakóbie?.. A pan Jakób na to:

— Ta co mi tam z tego!... A pan Kuderkiewicz:

— Jakto, co mi z tego? Zobaczysz pan, będzie Polska!

— Daj mi tam jegomość pokój ze swoją polityką —odparł pan Jakób:—nim będzie Polska, to nas tymczasem obedrą ze skóry!—Pan Jakób był pesymistą i kiwnął tylko ręką pogardliwie, gdy pan Kuderkiewicz wywodził mu dalej jak na dłoni, że „będzie Polska“ i że to już przyszło urzędownie z Wiednia. Pan Newełyczko zdał panu forszteherowi jaknajdokładniej sprawę z tej rozmowy dwóch szlachciców, i dodał, że po całym świecie już żydzi i chrześcianie powtarzają tę samą nowinę, że „będzie Polska“. Potwierdził tę rzecz i Dudio, który tymczasem zjawił się już był także w pokoju pana forsztehera. Dodał on także, że, jak słyszał, ma to stać w polskich gazetach, i że już trzech *sehr hochgestellte Beamte* mają być *ganz petschiert*, a między innymi pan starosta Złoczowski.

Pan Precliczek nie przywiązywał oczywiście najmniejszej wagi do wiadomości polskich gazet i Du-

dia, ale nie mógł jednakowoż zapoznać tej widocznej prawdy, że *die Umsturzpartei* zaczyna się znowu ruszać. Ciekaw był tedy, czy dzisiejszą pocztą nie przyszedł jaki *Winke von Oben*, i wrócił do bawialnego pokoju, ażeby odebrać transport, przyniesiony przez Schwalbenschweifa. Zasiadł natychmiast przy stoliku i począł odrywać jedną kolosalną pieczęć po drugiej, i przeglądać jeden arkuszowy *Auftrag* po drugim. Ale nie było tam żadnego *Winku*, oprócz olbrzymiego nosa, z podpisem: *Mosch*, m. p. — z którego wynikało, że pan forszteher ma kazać naprawić czemprędzej mostek na gościńcu koło samych Capowic, bo niedawno jakiś wysoki dostojnik, jadąc tamtędy na komisyę, omal nie skręcił karku. Pan forszteher już począł zupełnie wątpić, by najnowsze objawy rewolucyjne w Capowicach przeczuwane były *von Oben*, gdy nakoniec wpadła mu do ręki najświeższa *Lemberger Zeitung*, którą otworzył machinalnie. Nagle wypadła mu fajka z ust, wstał i, trzymając ciągle w ręku urzędowe źródło wiadomości, wpatrywał się jak wryty *in den ämtlichen Theil* szanownej *Lembergerki*.

— *Herr von* Sarafanowycz — rzekł nareszcie głosem, w którym odbijały się różne niemiłe uczucia— *haben Sie das schon gehört?*

Pan Sarafanowycz przystąpił bliżej, i z wielką ciekawością zapytał, o co chodzi?

— *Seine k. k. apostolische Majestät*—ciągnął dalej pan Precliczek—*Seine k k. apostolische Majestät haben geruht, Seine Excellenz den Herrn Grafen Agenor Gołuchowski zum Statthalter der Königreiche Galizien und Lodomerien zu ernennen*!

Kto nie wie, jaką niesłychaną grozę budziło w pewnych kołach urzędniczych nazwisko hrabiego Gołuchowskiego, ten nie zrozumie nigdy metamorfozy, jaka w tej chwili odbywała się w umyśle pana Precliczka. Siedział on złamany w swoim szlafroku i trząsł się bardziej niż podczas owej pamiętnej wyprawy, której rezultatem było zdobycie Małostawic. Całe chmury energicznych napomnień i nosów prezydyalnych snuły się „przed oczyma jego duszy", a w ślad za niemi wlokły się różne *Strafboty*, suspensye i t. p., *Umsturzpartei* wzięła widocznie górę. Podczas gdy on spokojnie rządził i panował w Capowicach, jak dawniej, świat wywrócił się do góry nogami. Pan Precliczek czuł, że i jemu przyjdzie zrobić to samo i patrzył z melancholią na pana Sarafa-

nowycza, jakgdyby na jaki drogi zabytek z minionych już czasów, teraz już zupełnie nieużyteczny.

Pan Sarafanowycz, jak już dostatecznie wszystkim wiadomo, nie był bynajmniej genialnym politykiem, domyślał się jednak, że nowina, którą właśnie obwieścił mu pan Precliczek, była nader ważną. Pan Precliczek czytał dalej z *Lembergerki* półurzędowy komentarz, jako Najjaśniejszy Pan mianując krajowca namiestnikiem, daje dowód szczególnej swej miłości krajowi, którego narodowe potrzeby i interesa mają być nadal jaknajbardziej uwzględniane i t. d.

Pan Sarafanowycz nie mógł wierzyć swoim uszom, słysząc to wszystko. Rzucił się ku tece, przyniesionej przez pana Schwalbenschweifa, czy nie znajdzie tam jakiego listu od szanownego wujaszka, któryby mu wyjaśniał, co się stało, co to ma znaczyć? I w istocie, znalazła się między „kawałkami“ urzędowemi epistoła, wysłana ze Lwowa do bawiącego tam księdza Nabuchowycza — tylko zamiast zwykłego adresu *An Seine des Herrn, Herrn* i t. d. stało na kopercie po polsku:

„Wielmożnemu IMci Panu
Janowi de Kaszuba Sarafanowiczowi,
c. k. adjunktowi,
Wielmożnemu Panu i Dobrodziejowi
w
Capowicach".

Wewnątrz zaś list zaczynał się, jak zwykle, od słów: *Liebster Neffe!* i zawierał w kilku wierszach pognębiającą wiadomość, że pan Summer przeniesiony jest ze Lwowa, że ten „udar" podkopał odrazu całą narodnost', tembardziej, że ta ostatnia traci oraz pana radcę Hehna, referenta szkolnego, przeniesionego w stan spoczynku, i pana Wolfartha, naczelnika obwodowego ze Złoczowa. Ksiądz Nabuchowycz dodawał, że nowy namiestnik, hr. Gołuchowski, *versteht keinen Spass*, i że akcye pana Precliczka stoją jaknajgorzej. Co się zaś tyczy *dein weiteres Vorkommen liebster Neffe*, dodawał szanowny wujaszek, to rozum jest od tego, *man muss den Mantel nach dem Winde hängen*, i nie wdawać się w takie rzeczy, jak te, o które pan Precliczek jest teraz pociąganym do odpowiedzialności...

Pan Sarafanowycz, pod pierwszem wrażeniem tego listu, nie omieszkał podzielić się jego treścią z panem Precliczkiem. Pan forszteher był roztargniony i miał niepospolitą ochotę pójść i położyć się napowrót do łóżka, czuł bowiem, że jego „kwasy" poczynały burzyć się nanowo.

Wtem zaturkotało coś pod oknami i niebawem wpadł do pokoju W-ny Kalasanty Capowicki z rozpromienioną jak jutrzenka twarzą. Wyczytał on właśnie w gazetach, że rząd, mianując krajowca namiestnikiem, tem samem zbliża się do kraju, i kraj nawzajem zbliży się do rządu; że odtąd rządzący i rządzeni nie będą dwoma nieprzyjacielskiemi obozami itd W-ny Capowicki wziął sobie to wszystko jaknajmocniej do serca i uważał to za swój najświętszy obowiązek zbliżyć się czemprędzej do rządu, a ponieważ pan Precliczek był widomym tegoż reprezentantem, więc dziedzic Capowic, Capówki i Capowej Woli pośpieszył zrobić mu wizytę.

Pan Precliczek nigdy jeszcze z taką serdecznością nie przyjmował pana Capowickiego, jak tą razą. Rozmowa zaczęła się natychmiast od najnowszych wydarzeń w polityce krajowej, i p. Capowicki w imie-

niu kraju oświadczył panu Precliczkowi, jako wyobrazicielowi rządu, iż rząd może liczyć na kraj i na pana Capowickiego, jakgdyby na półmilionową armię. Pan Precliczek był rozrzewniony i tłómaczył p. Capowickiemu bardzo obszernie, jak mocno go cieszy, że *ein Landeskind* został namiestnikiem,—*denn ich bin eigentlich auch ein Pole, Pantoprotschen*!—dodał, ściskając p. Capowickiego za rękę i wskazując na Milcię i na pana Schreyera, jakgdyby się chciał świadczyć nimi.

— Nu, ty, Milka—odezwał się do córki—proczpak *hast du mir nicht erinnert*, zaprenumirowat tego *Czas* albo *Gazeta Narodowa*, co mluwi pan Capowicki? *Das sind ja recht anständige Blätter*! *Und wissen Sie, Herr v. Capowicki, bei mir im Hause wird nichts als polnisch gelesen; da in meiner Kanzlei finden Sie lauter polnische Bücher*!

Był tam w istocie, jak wiadomo, niemały zapas książek polskich, skonfiskowanych podczas zaprowadzenia stanu oblężenia w domu pana Precliczka.

Niepodobna mi opisać, jak dalece W-ny Kalasanty Capowicki czuł się uszczęśliwionym, odkrywszy

naraz tyle polskości w sercu i w domu pana Precliczka!

— Mości dobrodzieju, — mawiał później do sąsiadów — ten Precliczek, to z gruntu poczciwy człowiek! Sam widziałem portret Kościuszki w jego bawialnym pokoju, naprzeciw portretu cesarza, a w całym domu nie znajdziesz innej książki, tylko same polskie. Oczywista rzecz, że za dawnego systemu musiał się Mości dobrodzieju kryć ze swojemi uczuciami, bo chleb przedewszystkiem, Mości dobrodzieju, ale teraz, to nie możemy sobie życzyć lepszego urzędnika! Wolę go tysiąc razy, niż tego półgłówka Schreyera— to jakiś mierosławczyk, rewolucyonista! Proszę sobie wyobrazić: niedawno powiada do mnie hr. Edmund, że powstańscy nawarzyli nam tu porządnego bigosu ze swojemi kwaterami, a pan Schreyer przerywa mu i mówi: Co nawarzyli, to nawarzyli, ale co jedli na kwaterach, to same jęczmienne kluski z łojem! Widzisz go, jaki mi mądry! Alboż to ja będę karmił jakąś tam zbieraninę pieczonemi kurczętami i budyniem? Alboż to ja i hrabia Edmund nie dosyć ponieśliśmy ofiar dla sprawy? Dotychczas mam kwity: trzysta siedemdziesiąt pięć guldenów i 28 centów ko-

sztowała mię Mości dobrodzieju ta zabawka, a co kłopotu i strachu, to o tem już nie mówię! I jeszcze jakiś tam Mości dobrodzieju Schreyer będzie mi robił przycinki! Fe, dla urzędnika cesarskiego to wcale nie na miejscu. Precliczek, to mi to do rzeczy człowiek: robi, co mu każą, i nie miesza się, gdzie nie potrzeba!

— Ależ, szanowny sąsiedzie—odzywał się na to pan Kuderkiewicz, albo pan Bzikowski — dobrze, że robi co mu każą, ale tego biednego emigranta nie potrzebował przecie zabierać odemnie i trzymać w kozie przez dwa tygodnie, nim mu wyrobiłem kartę pobytu! Wszak dziś już wiadomo rządowi, że jeżeli który z naszych przybywa do kraju, to chyba na to, ażeby znaleźć kawałek chleba — jeden taki biedaczysko i drugi nie zrobi przecież powstania w Galicyi i skoro z góry patrzą na to przez palce, to ze strony Precliczka było czystą sekaturą wsadzać biednego Rysikiewicza albo Skrzydłowskiego da kozy i trzymać ich tam tak długo razem ze złodziejami!

— Ot, gadasz Mości dobrodzieju, bo masz dobre serce—odparł na to pan Capowicki—ale urzędnik mu-

si pełnić swoją powinność. Ja sam nie robiłbym inaczej, gdybym był naczelnikiem powiatu!

Jak widzimy, rząd zyskał jednym zamachem w panu Capowickim bardzo silną podporę, a p. Precliczek wielkiego zwolennika. Dopiero później, gdy niewdzięczni współobywatele wybrali marszałkiem nie jego, ale pana Kuderkiewicza i gdy przeniesienie urzędu powiatowego zadało Capowicom ową klęskę, opłakiwaną już na wstępie tej powieści, Wielmożny Kalasanty Capowicki dostrzegł przepaść, do której wiedzie nas „tak zwana“ polityka utylitarna, i przyłączył się duszą i ciałem do skrajnej opozycyi.

Trzymajmy się jednak chronologicznego porządku i nie wyprzedzajmy biegu wypadków nawet w kwestyach ubocznych, nie mających bezpośredniego związku z dziejami naszej bohaterki.

Dla tej ostatniej, raport pana Newełyczki, zdany panu Precliczkowi, a następnie czytanie urzędowych, pocztowych „kawałków“ i *Lembergerki*, jakoteż wizyty pana Capowickiego były bardzo pożądanemi przerwami.

Wśród natłoku ważnych nowin i myśli, p. Precliczek nie miał nawet czasu zapytać się pana Sarafa-

nowycza, co się wydarzyło między nim a p. Schreyerem. Nawet po odjeździe pana Capowickiego, pan Precliczek był roztargniony, prawie zażenowany obecnością pana adjunkta i pana aktuaryusza w pokoju, i odczytywał tylko machinalnie raz jeszcze ów półurzędowy komentarz do nominacyi hr. Goluchowskiego namiestnikiem. Każdemu, ktoby był znał najgłębsze tajniki myśli pana forsztehera, nietrudno było odgadnąć, nad czem dumał w tej chwili p. Wencel Precliczek.

Oto pana Summera nie było już we Lwowie, tak jak oddawna nie było już pana Schmerlinga w Wiedniu. Nad wszelkie spodziewanie, protekcya ks. Nabuchowycza nie przydała się na nic więcej. Do nowych przedstawicieli wyższej i najwyższej władzy, potrzeba było trafiać innemi drogami. Reorganizacya władz politycznych była za pasem, można było być pominiętym, kwieskowanym, albo jeszcze gorzej, jeżeliby sąd obwodowy zechciał brać na seryo zeznania owego p. Mykity, który dopuścił się obrazy honoru, połączonej z odrąbaniem głowy swego teścia, w okręgu sądowym capowickim. Właściwie nie było nic w tej sprawie, bo jak słusznie zauważył pan Precliczek w tłómaczeniu się swojem, wysłanem do apelacyi:

„es ist eben nur ein Nebenumstand der Aufmerksamkeit des gehorsamst gefertigten Bezirk-gerichtes entgangen“ obraza honoru była głównym czynem karygodnym w tym wypadku, a odrąbanie głowy i t. p. szczegóły były tylko przypadkowemi akcesoryami właściwej istoty czynu. Ale jak to mówią: kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie. Nie było najmniejszej pewności, czy Wysoka apelacya albo jaki zbyt gorliwy sędzia śledczy nie zechce upatrywać w zeznaniach pana Mykity, co do pewnej kwoty 100 złr. i co do jakichś tam dwu korcy pszenicy materyału, któryby w połączeniu z owym brakiem *„der Aufmerksamkeit des gehorsamst gefertigten Bezirksgerichtes“* mógł posłużyć do pognębienia pana Precliczka, i tak już trapionego sprawozdaniami, które komisya serwitutowa podawała o jego czynności w Małostawicach, i nieustannemi korespondencyami w *Gazecie Narodowej* o niepokojących cokolwiek skutkach tych czynności.

Wobec całego tego stanu rzeczy, pan Precliczek czuł, jak mu z każdą chwilą ubywa ochota wypłacenia panu Sarafanowyczowi 15.000 złr. tytułem posagu dla Milci. Piętnaście tysięcy, w razie jakiej katastrofy, mogły mu być bardzo potrzebne, a odkąd ksiądz Nabuchowycz przestał być wpływowym człowiekiem,

pan Sarafanowycz nie był mu potrzebnym do niczego. *Und übrigens ist der Kerl blitzdumm*, pomyślał sobie pan Precliczek, i spojrzał zukosa na swego adjunkta, który w tej chwili miał w istocie minę mniej dowcipną, niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ XV,

w którym wyjaśnia się ostatecznie, do jakiej narodowości należy eigentlich pan Precliczek, poczem Numa idzie za Pompiliusza, a autor w milczeniu poleca się szanownej publiczności.

Pan Sarafanowycz pierwszy przerwał milczenie, które nastąpiło po odjeździe pana Capowickiego. W najpiękniejszym kancelaryjnym stylu począł on wyłuszczać panu Precliczkowi, jako uważa siebie za jego przyszłego zięcia.

— *Ja, lieber Freund* — przerwał mu pan Precliczek — *da haben wir die Rechnung ohne den Wirth gemacht! Meine Tochter will Sie nicht haben.*

— *Das ist unmöglich!* – oświadczył pan Sarafanowycz.

— *Nun, so fragen's sie selber* — i tu pan Precliczek zwrócił się ku Milci:—Milka, ti chtiela *heirathen* pane Sarafanowycza?

— Nie, ojcze, nie chcę!

— *Da haben Sie's! Das hab' ich Ihnen im Voraus g'sagt. S' geht halt nicht.*

— *Aber das ist ja ganz unmöglich* — powtórzył pan adjunkt. – Proszę panny Emilii, cy ja sobie nie jezdem niczego? Cy może nie adjunkt? Panna Emilia zrobi wielkie szczęście, jak pójdzie za mnie!— I pan Sarafanowycz wyprostował się jak świeca w całej swej długości, ażeby Milcia mogła lepiej przypatrzyć się swemu przyszłemu szczęściu. Milcia przypatrywała się tymczasem panu Schreyerowi, który gryzł wargi, ażeby się nie rozśmiać ze swego pana adjunkta.

— Ślicznie dziękuję panu—odpowiedziała nakoniec—ale może się znajdzie inna, godniejsza tego szczęścia. Ja go na żaden sposób przyjąć nie mogę.

— Et, niech-no panna Emilia nie robi ceremonii, ja bardzo proszę—odparł pan adjunkt, i z wyrazem

największej pewności zwycięztwa w twarzy przysunął się do Milci, ażeby ją pocałować w rękę.

Co to może narobić złego jeden kilkuwierszowy artykulik w *Lembergerce*! Pan Precliczek, który przez dwa dni irytował się tak mocno na korzyść pana Sarafanowycza, był teraz w największej obawie, by Milcia nie uległa przekonywającej elokwencyi tego „niczego“ młodzieńca. Jeżeli *Umsturzpartei* mogła zbliżać się do rządu tak, jak to właśnie wyłuszczył był pan Capowicki, to dlaczegóżby Milcia nie miała zmienić zdania? Pan Precliczek rad był prawie z obecności pana Schreyera w pokoju, tą razą przynajmniej *der verfl...* *Polack* przydać się mógł na coś, i ocalić mu jego 15.000 złr., zagrożonych tak niepotrzebnie w chwili, gdy pan Summer był już w drodze do Czerniowiec a ksiądz Nabuchowycz przestawał mieć jakiekolwiek znaczenie poza obrębem swego dekanatu. Co do pana Schreyera, pan Precliczek postanowił był sobie już od kwadransa nie wysyłać przygotowanego od wczoraj *Berichtu*. Wobec zmiany w namiestnictwie, zajście, do którego dały powód cytacye pisane po polsku, przybierało odmienną zupełnie postać i naj-

lepiej było pokryć całą tę sprawę wiecznem milczeniem. Pan Schreyer mógł zresztą bruździć mocno w procesie o ów *Nebenumstand*, zapomniany przy śledztwie pana Mykity, i teraz, kiedy wszystkie szanse były przeciw panu Precliczkowi, nie należało drażnić człowieka, który miał nie dla samej symetryi głowę na karku. Pan Precliczek pojął szybko tę nową sytuacyę i przyrzekł sobie, że umartwi się także od śledztwa o udział w powstaniu, które miał wytoczyć przeciw p. Schreyerowi. Widzimy ztąd, że pan Precliczek był dobrym politykiem i że nie kierował się żadnemi zasadniczemi uprzedzeniami — zupełnie jak nasi delegaci w Wiedniu, którzy, popsuwszy sprawę ze swoimi wyborcami, starają się być przynajmniej dobrze z ministeryum.

Kiedy więc pan Sarafanowycz z całą powagą swoją jako c. k. adjunkt, i z całą gracyą, jako konkurent, proszący o rękę, przysuwał się do Milci, pan Precliczek spojrzał po wszystkich obecnych wzrokiem, w którym było tyle niepokoju co ciekawości, chrząknął i zapytał się nagle:

— Nu, pane Schreyer, co pan tak pantoproczeu nic nie mluwi?—Była to wielka niegrzeczność

przerywać w ten sposób uroczysty krok pana Sarafanowycza, który stanął w pół drogi jak wryty.

— *Er ist ja suspendirt!*—zawołał—jak gdyby to miało wyjaśniać, dlaczego pan Schreyer „nic nie mluwi".

Tu pan Precliczek pofolgował wspaniałomyślnym uczuciom, tkwiącym w jego duszy; i oświadczył, że cała sprawa wczorajsza niewarta właściwie funta kłaków; że właściwie on tylko jeden jest tu obrażonym, ale, nie chcąc szkodzić młodemu i tak zdolnemu urzędnikowi, chętnie położy wszystko *ad acta.—Es ist übrigens mehr als billig* — dodał, ażeby stronom doręczać cytacye *in ihrer Muttersprache.— Das ist eigentlich der Wunsch Hohen Regierung, und der Wunsch der Bevölkerung, ich muss das am besten wissen, denn ich bin eigentlich ein Galizianer.*—Tak tedy, w przeciągu piętnastu rozdziałów, dowiedzieliśmy się *eigentlich* o trzech narodowościach, do których liczył się z kolei pan Precliczek. Pan Sarafanowycz był zresztą bardzo mało zbudowanym tą mową pana Precliczka i zapytał z nieutajonym złym humorem:

— *Ja, gut, Herr Bezirksvorsteher, aber mein Ohr?*

— *Was ist mit Ihrem Ohr?*

— *No, mein Ohr, mein rechtes Ohr* — powtarzał pan Sarafanowycz. Milcia spostrzegła, że zanosi się na ustną rozprawę, w której i ona mogła być skompromitowaną. Wstała tedy spiesznie i wyszła z pokoju, a pani Precliczkowa za nią. Jestem przekonany, że obie panie słuchały pod drzwiami dalszej rozmowy, choć obiecałem w imieniu mojej bohaterki, że podobna niedyskrecya nie wydarzy się więcej.

Pan Sarafanowycz poskarżył się teraz obszernie panu forszteherowi i opowiedział mu ze wszystkiemi szczegółami, jak *die Fräulein Tochter* „romansowała“ sobie z panem Schreyerem, i jak pan Schreyer postąpił sobie potem z uchem pana adjunkta. Pan Precliczek słuchał uważnie, a jeszcze uważniej słuchała pod drzwiami Milcia, co dalej będzie z tą sprawą? Pan Schreyer zmiarkował był oddawna, jak rzeczy stoją i z największym spokojem oczekiwał swego losu. Nakoniec odezwał się pan Precliczek. Milci biło serce gwałtownie, była bliska zemdlenia. Po tem, co się działo w domu od dwóch dni, mogła uważać za rzecz prawdopodobną, że ojciec każe zawołać

żandarmeryę, przywiązać Karola do wielkiej lipy na dziedzińcu i rozstrzelać bez miłosierdzia, poczem akta odesłane będą sądowi karnemu *zur weiteren gefälligen Amtshandlung*. Tymczasem ojciec, obrócony bokiem do pana Sarafanowycza, powiedział tylko, podnosząc ramiona i rozkładając ręce:

— *Ja, lieber Freund—was kann ich dafür! Sie können halt eine Ehrenbeleidigungsklage anstrengen—* ... i wyszedł do swego pokoju.

Milcia rozpłakała się z radości, chciała już biedz do ojca i ucałować mu ręce i nogi za tę niesłychaną łagodność—ale wstrzymała ją matka. Pan Sarafanowycz osłupiał i stał na środku pokoju, patrząc się bezmyślnie napozór w okno, przez które widać było ostatnie, czerwonawe połyski dnia na zachodzącem niebie. Ale podczas gdy ściemniało się na dworze, poczęło się rozwidniać w głowie pana adjunkta. Nagle uderzył się pięścią w czoło, schwycił ze stołu list od szanownego wujaszka i, zabierając się do wyjścia, przystąpił jeszcze do Karola, który przez cały ten czas stał oparty o jakąś szafę, z rękoma w kieszeni i z najobojętniejszą miną w świecie.

— Pan myślisz — rzekł mu pan Sarafanowycz,

pieniąc się od złości i wyszczerzając swoje dwa żółte zęby—pan myślisz, że kiedy jeden Polak został gubernatorem, to już wam wszystko wolno? Jeszcze ja doczekam, że tacy, jak pan, będą kajdankami dzwonić

I pogroziwszy pięścią, pan Sarafanowycz, nie czekając odpowiedzi, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami, i w trzy tygodnie później ożenił się z panną Anastazyą Worobcianką, córką księdza Worobcia z Podmościc. Posag wynosił sześć tysięcy złr. w gotówce, oprócz srebra, fortepianu i dwóch futer, jakoteż pary kasztanków z nową najtyczanką i innych porządków, nader pożądanych w stanie małżeńskim.

*

* *

W dziesięć dni później, Capowice były widownią ogromnej demonstracyi politycznej. Od samego rana do późnego wieczora bito w dzwony i strzelano z moździerzy, a wieczorem, jak pisze *Gazeta Narodowa* z października 1866 r. w stu osiemdziesięciu i czterech korespondencyach z prowincyi, „całe mia-

sto, nagle jakby różczką czarodziejską tknięte, zajaśniało rzęsistą iluminacyą". Dudio wystawił transparent, na którym wyobrażony był ces. król. orzeł dwugłowy, pod którego skrzydła tulił się z jednej strony portret J. Wielmożnego Capowickiego, jako właściciela propinacyi, a z drugiej portret pana Precliczka, jako naczelnika rządu w Capowicach. Była to, według słów korespondencyi „piękna artystyczna robota pana aptekarza miejscowego". Oprócz tego, „wielkie tłumy ludu, z muzyką na czele, przeciągały od ratusza do gmachu becyrkowego, także świetnie oświetlonego, i wznosiły się tysiączne okrzyki wdzięczności dla Najjaśniejszego Pana, dla hrabiego Belcredego i dla hrabiego Gołuchowskiego". Bracia wyznania mojżeszowego krzyczeli: „wiwajt!" a pan profesor akademii capowickiej wraz z panem oberaufseherem od straży skarbowej krzyczeli: „Niech żyje Polska"! i włos im za to nie spadł z głowy. Korespondent, który opisywał tę uroczystość, ma dotychczas żal do kronikarza *Gazety Narodowej*, iż tenże nie wydrukował w całości ani mowy, którą Wielmożny Kalasanty Capowicki przy obiedzie, który dawał dnia tego, miał do Pana Precliczka, ani tej, którą pan Precliczek odpowiedział panu Capowickiemu. Ale oby-

watele powiatu capowickiego, „oddając hołd prawdziwej zasłudze“, nadesłali później inserat, który za opłatą sześć centów od wiersza drobnym drukiem i 30 centów należytości stemplowej ogłosił światu, iż „nasz naczelnik powiatowy, pan Wacław Precliczek, jakkolwiek niekrajowiec, łączy w jednej osobie wszystkie zacne i dobre przymioty jako obywatel, jako człowiek i jako urzędnik, i jemu też cały powiat kwitnący swój stan materyalny i moralny zawdzięcza, albowiem niezmordowaną gorliwością swoją nie przestał nigdy około dobra całego powiatu capowickiego być czynnym, et caet. et caet.“

Ale utylitarna polityka hrabiego Gołuchowskiego była nieczułą na ten wymowny dokument, jakkolwiek należycie opłacony i ostemplowany. Wprawdzie nie pokazało się w drodze sądowej nic, coby mogło stawiać w dwuznacznem świetle brak odwagi ces. król. sądu capowickiego *auf einen Nebenumstand* w procesie pana Mykity i ludzie szeptają sobie, że pan Schreyer przyczynił się mocno do tego, by historya pierwotnego śledztwa z panem Mykitą nie wypadła na niekorzyść jego szefa. Była to ze strony pana Schreyera tranzakcya z własnem sumieniem, którą uniewinnia, a przynajmniej tłómaczy wzgląd na boha-

terkę niniejszej powieści. Pan Mykita wrócił zresztą po czterech miesiącach z więzienia, gdzie, jak mi mówili sąsiedzi tego zacnego obywatela, „zrobyły jemu *Mangel*“. Po bliższem rozpytywaniu się przyszedłem do wiadomości, że *Mangel* był to sposób wymierzania sprawiedliwości, używany za dawniejszego systemu, osobliwie w tych wypadkach, gdzie złoczyńca schwytany był na gorącym uczynku, albo przekonany przez świadków, ale sam nie chciał przyznać się do winy. Teraz skasowano *Mangel* i zamykają złoczyńców dłużej, ale za to urządzają im pobyt w więzieniu ile możności najprzyjemniej.

Lecz mimo szczęśliwego zakończenia tej sprawy nietylko hrabia Gołuchowski przy reorganizacyi urzędów politycznych zapomniał o p. Precliczku, ale nawet nowy prezes apelacyi nie przypomniał go sobie przy mianowaniu sędziów powiatowych i obecnie zacny ten mąż „równie zasłużony jako człowiek, jako urzędnik i jako obywatel“, przeniesiony jest w stały stan spoczynku i mieszka we Lwowie, nie tając swej niechęci dla utylitaryzmu galicyjskiego i swojej właściwej narodowości, *denn er ist eigentlich ein Böhme, Vaclav Preclicek, aus Jung-Bunclau; zivili Slovane!*

A panna Emilia? Ta zadowolona jest jaknajzu-

pełniej z „nowej ery“, która ją uwolniła od pana Sarafanowycza. Pan Precliczek nie odrazu wprawdzie przezwyciężył swoją antypatyę ku Karolowi, ale gdy ten stał mu się potrzebnym z powodu słynnego *Nebenumstandu* i z góry oświadczył, iż nie myśli żądać żadnego posagu, p. Precliczek powiedział nakoniec Milci: *So mach meinetwegen was du willst.* Jeszcze tedy przed przeniesieniem urzędu powiatowego z Capowic, ksiądz Zając miał sposobność ponowienia przepisanego przez konkordat protokułu z Milcią — a tym razem wszystko poszło jak z płatka, pominąwszy tę okoliczność, że Karol zawieruszył był gdzieś swoje świadectwo szczepionej ospy, a ksiądz Zając jako wielki formalista nie chciał go kopulować, póki konsystorz nie dał wyraźnego pozwolenia na ślub bez powtórnego szczepienia ospy. Obecnie państwo Schreyerowie mieszkają gdzieś w Stanisławowskiem czy Żółkiewskiem, a pan Karol jest sędzią i członkiem Rady powiatowej, i nie pisze już wierszy. Pani Karolowa także już mniej zatrudnia się literaturą, bo młodszy pan Schreyer, liczący obecnie półtora roku, daje jej wiele do czynienia. Pan Sarafanowycz, jako nadliczbowy adjunkt zaliczony został do któregoś starostwa na Mazurach. Nie słyszałem atoli, by w nim

odkryto jakiekolwiek zdolności konceptowe, lub inne. Zachodzi tedy obawa, że wkrótce powołany będzie na jakąś wyższą posadę, jeśli najnowsza era, która nastąpiła obecnie, nie ustąpi miejsca jeszcze nowszej.

Lwów w marcu i kwietniu 1869.

KONIEC.

Wyższa Szkoła Nauczycielska Biblioteka Gł. w Kielcach

Publiczna Biblioteka Miejska 6013 w Pabianicach

Polska ... w Pabianicach

W ostatnim kwartale roku 1898, t. j. od 1 października do 31 grudnia, wyszły i rozesłane zostały prenumeratorom „Gazety Polskiej“ następujące dzieła, jako bezpłatne dodatki tygodniowe:

St. Kozłowskiego **„Taboryci“**, dramat w pięciu aktach . . . . . tom 1
T. T. Jeża **„W Zaraniu“**, powieść. . . . . tomów 3
E. Goncourt'a **„Bracia Zemgano“** . . . . tom 1
T. Padalicy **„Powieści Ukraińskie“** . . . . „ 1
Edm. Rostand'a **„Cyrano de Bergerac“**, komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . . tomów 2
Ireny Mrozowickiej **„W płytkim prądzie“** . . tom 1
Jonasa Lie **„O Zachodzie“**, powieść norweska „ 1
Klementyny z Tańskich Hofmanowej **„Krystyna“** . . . . . tomów 2
H. Andersen'a **„Bajki i Opowiadania“** . . . tom 1

Nowi Prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ przybywający od Nowego Roku 1899 otrzymywać mogą komplet tych 13 tomów za rb. 3 z przesyłką pocztową i za rb. 2,40 w Warszawie.

IOTE
3283
Biblioteka WSP Kielce
0194166